

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HISTORIA PRAWDZIWA O
PETRKU WŁAŚCIE
PALATYNIE, KTÓREGO
ZWANO DUNINEM

Józef Kraszewski
Historia prawdziwa o
Petrku Właście palatynie,
którego zwano Duninem

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842782

Historia prawdziwa o Petrku Właście palatynie, którego zwano Duninem:

Аннотация

Jest druga połowa XII wieku, czasy rozbioru Polski – cztery dzielnice rządzone są przez synów Bolesława Krzywoustego. Najstarszy z nich, Władysław, jest księciem zwierzchnim, seniorem. Żona namawia go do wystąpienia przeciwko braciom i zyskania władzy nad całym krajem. Przeciw niemu występuje możnowładztwo z Piotrem Włastem na czele, który chce utrzymać postanowienia ustawy sukcesyjnej Krzywoustego, za co przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę. Powieść historyczna napisana przez Kraszewskiego w 1878 roku, która weszła w skład cyklu Dzieje Polski.

Содержание

Tom I	5
I	5
II	27
III	50
IV	69
V	91
Конец ознакомительного фрагмента.	99

Józef Ignacy Kraszewski
Historya prawdziwa o
Petrku Właście palatynie,
którego zwano Duninem

STANISŁAWOWI DUNINOWI

*z lat lepszych Towarzyszowi miłemu
przesyła*

Autor.

Florencya

17 Marca 1878.

Tom I

I

Zmierzch był dnia jesiennego, a takiéj jak ta jesieni ludzie najstarsi nie pamiętali. Przyszła ona jakoby Boże błogosławieństwo, aby biedne ludziska z pola, co gdzie jeszcze na niém było pochwycili do brogów i stogów, a ozime polka obsiać mogli wczas, i do weselisk, zawsze porą jesienną obchodzonych, przy pełnych stodołach, – przysposobili się bez troski.

Dziesiątnicy duchowni już byli wszędzie powytykali, co gdzie kościołom należało i zdali na wierne ręce, wybranym do przechowania kmieciom, dopóki by się to nie sprzedało. Poczywały się po lasach łowy gorące, aż się puszcze rozlegały, bo o wojnie jakoś pod ten czas słyhać nie było. I lud boży oddychał.

To téż jadący polem, lasem podróżny, na zaraniu, wieczorami choć ptactwa świergocącego i przyśpiewującego nie posłyszał, bo to było umilkło jedno a drugie za morza poodlatywało, ludzkie śpiewy wesoło chwytął uchem i serce mu się od nich radowało.

Około chat na rucianych ogródkach śpiewały dziewczki, około stawów wyciągając z wody len i konopie śpiewały niewiasty, koło stad na wypasach zawodzili pastuszkowie, a kędy kościół stał wieczorem otwarty i z niego słyhać było nuconą chwałę Bożą.

U gościńca do Wrocławia wiodącego, w gęstym lesie na skraju stała gospoda, bo to szlak był, którym do miasta na targowice dużo ludzi ciągnęło, nie tylko ze Szlązka i z Polski, ale i z kupią z obcych ziem, którą pod owe czasy mieniano na inną albo ją i za kruszec sprzedawano. Zbiegały się w Wrocławiu drogi ze wschodu i zachodu, jechali tedy kupcy od Rusi z greckimi wyroby i ruskim towarem, przyjeżdżali Niemcy od Sasów i od Franków, czasem Szwaby, ba i dalsi.

Ale onego dnia w gospodzie jakoś pusto było, i Mikuł gospodarz, żona jego Samicha, a czeladź ich nic do czynienia nie mieli.

Budowa była drewniana, duża jak szopa, z przedsieniami na słupach dokoła ją obiegającymi, aby się gdzie lud czasu słońca gorejącego i niepogody miał schronić, nie dusząc w izbie, choć izba też była przestronna, w ławy dokoła przybrana, w pośrodku ognisko z kamieni czysto mająca wyłożone. Po nad niem dziura, w wyżkach i dachu, klapą zamykana, przez komin z chrustu pleciony, gliną wylepiony, dym się nad dach dobywał.

Naokół ogniska, w którym się teraz ledwie węgli ostatki tliły, leżały kłody i kamienie, aby czasu zimy ludzie bliżej ciepła przysiąść się mogli. Był z jednej strony i stół duży, a na nim jeszcze próżne kubki drewniane i gliniane dzban stał od piwa, a w rogu obyczajem powszednim chleba bułka i nóż przy niej, na ręczniku.

Cicho było w gospodzie, jak to gdy się ludziom na sen i spoczynek zbiera, tylko w szopie obok do izby przytykającej,

ścianą z dylów od niej przedzielonej, beczały owce gospodarskie czarne i bure, prychały krowy i koni para rżeniem się do wieczorniej paszy odzywała.

Co się najadło wprzód i napiło, przed spoczynkiem po swojemu mrużąc Pana Boga chwaliło.

Mikuł stary człek, przygarbiony, w grubiej, szariej bieliźnie jednej, i chodakach skórzanych sznurami do nóg poprzytwierdzanych, na ławie siedział u okna odsuniętego i czegoś postękiwał, powzdychiwał, zadumywał się oburącz głowę podłysiałą podparłszy i brodę rozczochraną, krótką zadarłszy do góry.

Z rękami na piersiach założonemi, dalej nieco siedziała otyła, stara Samicha, żona jego, kądziel jeszcze trzymając pod sobą, a wrzeciono już w nią zatknąwszy; bo jój w kącie zmierzchło i ręce od snucia nici drżały. Z czeladzi dwoje przed gospodą leżało brzuchami na ziemi, głowy na rękach oparłszy, trawę skubiąc z próżnowania i gryząc ją bez myśli, a pomrukując lada co.

To się tam który rozśmiał, który zdrzémał, to jeden drugiego ręką sięgnął a po drużbie dał kułaka. Nie było bo co robić.

W izbie na ławie niskiej jednym jeden drzémał sobie stary dziad z gęsłą na plecach, siwowłosy, spoczywając téż, ale z nałogu, gdy się przebudzał, coś sobie podśpiewywał i sen mu z ust powoli pieśń zdejmował. I słyhać było zamiast niej chrapanie, a potem przyśpiewkę znowu i sen wtóry.

Znać tu starowina znanym był, bo na niego nikt nie patrzył, i nie było mu pilno ani do snu, ani do pieśni, ani w drogę. Są

bo takie chwile na człowieka, że mu się nie chce niczego, nawet życia. Ciemniało już i kury wszystkie z pod gospody poszły spać na poddasze, mieszcząc się na grzędach.

Wśród tego milczenia, gdy i las nawet zdrémnąwszy się nie szumiał, hen, zdala coś zatętniało. Mikuł zaraz głowę podniósł i ucha nastawił. Samicha się jakby przebudziła i kądziel postawiwszy wstała przeciągając się, dziad też przetarłszy oczy coś głośnieją płaczliwym głosem zanucił.

Czeladź co na darni leżała podniosła się nasłuchując, wstawać czy nie, gdy z krzaków dwa duże, piękne psy łowcze się wyrwały i nosami po ziemi tropiąc poczęły biegać, dopieroż ludzi postrzegłszy naszczekiwać, i stanęły.

Za niemi z gąszczy, w której zaszeleściało i zachrząszczało, jakby zwierz się z niej dobywał duży, wysunął się jeździec i stanął. Trudno go było poznać co za jeden był, bo odzież na sobie miał niepoczesną, ale pod nim koń krępy, gruby, mocny, zażywny szedł, jakby pański.

Na nim rząd prosty, skórzany wdziany był i siedzenie niewykwintne. Człek na plecach łuk i kołczan miał prosty, a u nogi przytwierdzone toporek i oszczep.

Wydobyszy się na gościniec, począł się tu i owdzie rozpatrywać mocno, wprzód, w tył, niby się dziwując, że tu stał, niby nie wierząc oczom własnym.

– Sam tu! – zawołał ku czeladzi. – Co to za państwo? jaka to droga? kogo wy tu słuchacie? czyj las? hę?

Posłyszawszy pytanie, nim się parobcy zebrali odpowiedzieć

na nie, sam Mikuł wyszedł z pokłonem, przypatrując się pytającemu. Człek był zasię młody, ogorzały, bujnego wzrostu, silny, pięknej twarzy, z pańska wyglądający, choć odzież pana nie wydawała. Mikuł, który pochwycił pytanie, począł przybliżając się ku jeźdźcowi, odpowiadać powoli, choć więcej patrzył niż mówił.

– Czyż to Wasza Miłość tak z dala, że o nas nie wiecie?

– A z dala i dużom puszciami pobłądził, dni już trzy się po nich rozbijając. Odbiłem się od swoich, oman jakiś czy co po bezdrożach mnie wodził.

– Ziemia to pana Petrka Włodkowego – rzekł Mikuł – coście pewnie o nim słyszeli, bo o nim na wsze strony szeroko głośno. Pan mocny jest, a teraz gospoda i ziemia siucha do klasztoru, któremu jest nadana, do czarnych mnichów. Karczma ich i szynk ich, i ja też siedzę z ich ręki od księdza opata.

Do Wrocławia ztąd niewielki kawał drogi.

Splunął jakby z gniewu podróżny, słuchając, a potem się zaraz przeżegnał.

– A to diabeł chyba mnie kędyś tak daleko zaciągnął. – Gdzie u licha! Pod Wrocław!

I ruszał ramiony a potrząsał sobą. W tém na gościńcu z dala turkotać zaczęło. Mikuł zamilkł wyglądając ku lasowi i ku polom na przemiany. Od strony Wrocławia wóz się toczył i huczało, gdy szedł po twardém. Siedział na nim człek jeden powożąc się, drugi wyrostek przyczepiony był u drążka. Dwa konie ciągnęły wozisko, a trzy za niém biegły, wszystkie jakby pomęczone

bardzo, głowy zwieszały i wlokły się, ten podkuliwając, drugi ledwie ciągnąc nogi.

Gospodarz na wozie, na garści słomy siedzący w czapce dużej, z opończą narzuconą na ramiona, średniego wieku, twarzy zasepionej, za pasem siekierkę miał, przez plecy torbę skórzaną.

– A wiu! a wiu! – popędzał konie, aż pod gospodę podjechawszy, stanął.

Odwrócił się do Mikuły.

– Witaj ojczyźnie Tymochu! – odezwał się gospodarz, zwracając ku niemu.

– Bóg zapłać, jestem żyw, jak widzicie – a i to szczęście, – odparł Tymoch. – Z „przewodem” mnie gnali, gnali, że i we mnie, i w koniach ledwie już tchu stało.

To mówiąc i nie spojrzawszy nawet na jeźdźcę, który stał i słuchał, z wozu zląkł przybyły, konie jego poczęły trawę skubać, on im z wozu, z pod słomy garść siana zarzucił, aby miały czém zęby przetrzeć – a sam do izby pociągnął.

Stojący jeszcze na koniu podróżny rozmyśliwszy się, podjechał też pod szopę i ze szkapy zsiadł na czeladź hucząc, aby mu ją wzięto do żłobu. A tuż i psy doń przybiegły, z którymi razem do izby krokiem śmiałym wszedł, jak ten, co się wszędzie panem czuje.

– Gospodarzu miły, – ozwał się głosem młodym i mocnym, który pięknie brzmiał, – jam głodny i koń mój także, o obu radźcie, jako możecie. Psom by się też coś zdało.

– Piwo i miód na rozkazanie, – rzekł Mikuł, – jak lepsze nie

mogą być, chleb też jest, sól, słonina i sér, a baba i polewkę ciepłą zwarzy, kiedy każecie.

– Niech warzy, co chce! głód nie patrzy, co dają, – rzekł na ławie zasiadając za stołem młody pan.

Tymoch popatrział jakoś nieufnie, podejrzliwie, z trwogą prawie na mówiącego, jakby go dopiero teraz dojrzał, przy dziadzie nieopodal na ławie stęknąwszy, usiadł i piwa zawołał.

– W gardle zaschło, Mikuł! nim konie tchną ja się napiję.

– A wy to zkąd? – spytał go jezdny z za stoła.

Nie zaraz mu odpowiedział Tymoch.

– Mil parę ztąd siedzę, wolny kmieć jestem, z przewodu powracam. —

Westchnął.

– A kogożeście to przewodzili? – zapytał jeździec.

– Hę? czy to teraz na podwody nasze przewodów brak? – poczał Tymoch, bo mu się już gęba rozwiązywała. – Miłościwy panie, i my i konie ledwie dyszemy. Albo to u nas księdzów mało? a który z nich jedzie czy swoją ziemią czy cudzą, juści mu wszędzie przewód dać trzeba, a nie to po łbie i konie z szopy bez człeka zabiorą, co ich potem nie ujrzysz. Nie pytają oni, czy i nam kmieciom chudoba wyzdycha. Pędzi starościński włodarz czy dla Władysława, czy dla Bolka, czy choćby i dla Wojewody jakiego, a podoba się Jego miłości księdzu Biskupowi któremu jechać, to i ich ludzie pędzą do przewodu, i starościńscy, i dla żupanów i dla pańskich urzędników, a choćby i dla psiarzy książących. —

Westchnął znowu i głowa mu zwisała.

Młody popatrzał nań milcząco, – podawał mu właśnie Mikuł gospodarz miód, a Tymochowi piwo.

– Tak że to ono z wieku bywało! – odezwał się młody z za stołu. Tymoch się na to strząśł.

– Ojcowie inaczej pamiętali – szepnął od ust kubek odrywając – dawniej się różno trafiało, z laty gorsze nastało. Panów się moc namnożyła wielka i żupanów i urzędników i duchownych i księdzów tych i owych. Kmieciowi coraz ciężej.

– Zawszy ludzie narzekali – odparł młody podpijając i przegryzając.

– Dziadom bo lepiej było – wtrącił Tymoch, – dopóki do nas nie przyszedł wszelki obyczaj niemiecki. A no. —

Machnął ręką i usta mu się zwały.

– Mówcie jako chcecie, mówcie, – odezwał się młody, – jam ci nie Niemiec a swojak. —

– To swojak wiedzieć musicie, jak nam kmieciom teraz jest, – mówił Tymoch. – Płacimy poradne, dajemy podworowe, naraz, dajem przewód, idziemy do grobel, haci i mostów, do płotów i do tynów, do zwózki; dajemy osyp, miód, kury, woły, a gdy przyjdzie pogoń, pogońce... Kto tam zliczy!! Czyż może być gorzej? —

Znów zamilkł; a tchnąwszy jak sam do siebie, ciągnął.

– Bierze ksiądz dziesięcinę dodatku. Jak zostanie na przednowku chleb dla nas z ościami, a dla koni strzecha, Pana Boga chwał, bo na stacyi stogi nasze pańskie konie zjadły, a

czeladź płoty popaliła.

Mikuł, który stojąc przysłuchiwał się, uśmiechnął z pod wąsa.

– Coś bo wam dziś przewód zalał sadła za skórę, – rzekł pomrukując. – Ono to wszystko prawda, a jabym się z wami jeszcze pomieniał na moją biedę i w targu zarobił. Ludzi macie dosyć, czeladzi, parobków, koni, stadniny, trzody i pól i barci, głodu nie zaznacie...

– Jak ono pójdzie dalej tak, – ciągnął Tymoch, – kmiecie zejda na zagrodników. Im więcej panów, tém na nas ciężej. Bywał bo jeden pan, jeden król, jednegośmy słuchali, teraz już czterech czy pięciu, panów Biskupów drugie tyle, co jak królowie panują. – Niech się to rozrodzi, będzie po jednemu na kmiecia. Coraz koło nas cieśniej – dodał, – a do sądu i po sprawiedliwość albo ja wiem, dokąd iść z datkiem i żałobą? Za jedno do żupana, za drugie do księcia, za trzecie do Biskupa – każdemu sądowi trzeba płacić, a żaden sprawiedliwości dać nie mocen.

Gdy się tak gwarzyło, Mikuł, wychylony przez kmiecia kubek piwa, nalał na nowo.

– Napijta się – rzekł podając mu, – lżej na sercu a jaśniej w oczach będzie.

Węc gdy pił Tymoch, a młody podróżny na dalsze żale ucha nastawiał, dziad co dotąd niemy siedział w rogu ławy, począł coś pomrukiwać. Niby śpiewał, niby mówił, niby drugim, niby sobie. Zrazu go i zrozumieć było trudno, aż jakby zdali kędyś przychodząc, to mruczenie zbliżać się i w mowę coraz wyraźniejszą zmieniać zaczęło.

– Bywało inaczej – jak ono bywało! – wiedzą tylko groby, mogiły śpiewają, gdy wiatr po nich dmucha. A któż wiatru słucha? Żywych co patrzali na świecie nie stało. Bywało! bywało! I ziemia rodziła i paśli się ludzie i krew się nie lała, a pana nie znali i panami byli – bywało! a kiedy to było? kiedy słońków dwoje na niebie świeciło, a cztery miesiące około nich chodziło. – Héj! héj! —

I począł się śmiać sam do siebie, sam z siebie.

– Ojcie Tymochu – mruzczał dalej – jako świat był światem, wilcy krowy dusili a żupany kmieciów cisnęli. Na co Pan Bóg zęby dał??

– Héj ty dudo dudarzu – przerwał Tymoch gniewnie, – ale onego czasu na dziesięć krów był jeden wilk, na stu kmieci żupan jeden, teraz na jedną krowę dziesięć wilków, na jednego kmiecia stu żupanów!

Jak posiało milczeniem.

– Z Wrocławia jedziecie? – zapytał młody.

– Bo do Wrocławia przewód mój był – rzekł kmieć, – do dwora pana Petrkowego jakieś książątko jechało. Ledwie z niem u wrót pod Sobótką stanął, konie wyprzągł, nie czekałem Bóg zapłać i w nogi do domu. Nużby drugi nazad przewodu potrzebujący pochwycił!

– Nadaremna to trwoga – rzekł Mikuł, – boć pan nasz Petrek, Boży sługa, dla kmiecia i wszelkiego człowieka litościw wielce. Prędzejby was pokarmić kazał, niż dalej gnać. —

Dziad potwierdził.

– Toć pan! – rzekł – nie minie człeka bez jałmużny, a i pani Petrkowa dobra jest i syn Świętoch się wdał w rodzice, zmiłowanie mają nad ubogim narodem.

– Co bo wy ich tak chwalicie bez miary – wyrwał się kmieć – jakby to go ludzie z dawien dawna nie znali.

– Ja tego chwale, na czym wózek jadę, – rzekł Mikuł skrobiąc się po głowie, – toć to karczma jego była, i jam jego był, mało co jak ją zdał na Czarnych. – Gdybym go i nie słuchał, powiem jak się godzi, bo dobry pan.

– A no! dobry teraz, pewnie, gdy się spał – rzekł uparty kmieć. – I wilk gdy niegłodny, krowie się ogonem kłania. Miałbym ja to co on, takżebym dobrym był. – Złoto u niego korcami mierzyć.

– Czemu nie, – odparł Mikuł – a ziemi ma, co jój w rok nie objedzie, lasów tyle, co ich nie przepoluje w pięcioro lat, wszelkiego dobra u niego jak u księcia, a pani krasna i dzieci piękne.

Tymoch głową potrzasał i śmiał się.

– Jam człek nie dzisiejszy – odparł, – pamiętam ja króla i stare dzieje, a owo, co ten Petrek dokazywał, za co żonę i skarby pobrał i łaski się pańskięj dokupił, że go król nieboszczyk potem za brata i swata miał.

Mikuł brodę darł i marszczył się.

– Nie gadajcie, nie mielcie – a kto to tego nie wie!

– Owszem mówcie, ja choć wiem, to niespełna – odparł młody. – Choć się co słyszało, wywietrzało, radoby się

przypomniało.

Tymoch z niechęcią, ukradkiem wskazał na dziada.

– Ten niechaj wam gada gadki – odezwał się, – dziadowska to rzecz do torby zbierać po drodze chleb, a do drugiej ludzkie plotki. Obieży świat, wszystko wie i każdą rzecz powiedzieć umie.

Wyjął młody z sakwy srebrniczka małego i dziadowi go rzucił.

– Praw dziadzie – odezwał się, – nim zwarzy jeść gospodyni, gadaj, bym nie spał.

Mikuł, jakby mu się słuchanego słuchać nie chciało, poszedł do komory ciemnej, a ci, co zostali, umilkli, ku dziadowi się obracając. Dziad splunął i począł.

– Héj, stał raz dąb nade drogą, a szli ludzie podle niego. – Piękny dąb, dobry dąb, – rzekł jeden, – gdy sobie pod nim zasnął oparłszy się on i cień nad głową od gałęzi miał.

A drugi, co przyszedł, gdy się pod nim do snu ułożył, padł mu z dębu żołędź dojrzały, z wysoka na oko i zranił źrenicę. Ten przeklinał dąb jako zbója, aby go pierwsza siekiera nie minęła; pierwsza burza wywaliła, pierwszy piorun spalił.

Ptactwo, co się w jego liściach gnieździło, błogosławiło, wiewiórka, co w dziupli siedziała sławiła, a orlęta, których ojca ubito, gdy na gałęzi siedział, klęło i bluźniło nań.

Nasz pan jest, jako ten dąb wielki; jedni go chwalą, drudzy klną, każdy sercu swojemu dogadza, a dąb sobie stoi, jako stał.

Dawne to dzieje, za króla Krzywoustą się działo; choć mnie

tam nie było może, możemy ja tam i być, choć przez sen. Dziś ja żebrak i pruchno, za młodem wojaczył i za pany tarcze woził, oczy miał, uszy miał.

Petrek u króla był i z królem na spół wojował. Gdzie trzeba było piorunem bić, ptakiem lecieć, węzem podłazić, nikogo słano, ino Petrka. On wszystko umiał, a co król rzekł, rozstap się ziemiom – zrobił – jak przykazano.

Bratał się król wówczas i z ruskim kniazem, zbratał tak, aż się poswarzyli. Kto lepszy. Wołodar począł trąbić, a na nas swoją dzicz prowadzić i palić lasy i sioła i jeńców brać a gnać. – Zdradził pana naszego; król rozsierdził się srodze. Złapać go, wiatru w polu nie było można. – Dałbym, – rzekł, – coby ze mnie żywno kto chciał, byłem zdrajcę w rękach miał. Petrek słuchał i śmiał się.

– Co mi dasz królu, panie, – zapytał, – związanego ci na twój dwór dostawię?

Nie wierzył król. – Dam ci jego samego – rzekł powstawszy, – weźmiesz okup, jaki zechcesz, ja sobie nie chcę jednej grzywny, tylko bym go w rękach miał.

A było tak, że Petrek na Rusi nie jeden już raz gościł, gdy król się jeszcze z kniazem Wołodarem bratał i za posła był używany i Wołodarowi do chrztu dziecko niósł, a kumem się mu zwał.

A kto królowi panu krzyw i zdrajca, komu kumem taki być może?

Tymoch głową potrząsł, ramieniem ruszył dziad mówił dalej.

– Wołodarowych wojów tysiące było, a pan Petrek się nań

wybrał w sześćdziesiąt koni. – Król patrząc rzekł. – Żał mi cię, na zgubę jedziesz. – No to zginę dla Miłości Waszój, – odparł Petrek – i jechał. Jechał wprost na zamek kniazia, a nie w kopę koni, bo ludzi w lesie zostawił, jak mu potrzeba było, tylko samotrzeć – i przybywszy na zamek, bił czołem Wołodarowi. – Król mój pan, pozdrawia was, kniaziu Wołodarze, – mówił, – chociażście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mir po staremu uczynili.

Kniaz Wołodar słuchał i zdumiewał się, ale że kuma w nim znał, odparł. – Szczęście masz, żeś mi dziecko do chrztu trzymał, nie godzi mi cię imać i karać, a kazałbym cię na wiek do ciemnicy wrzucić, abyś w niej gnił. – Jam wojny nie poczyniał, król twój najeżdżał ziemię moją, chcąc mnie zawojować. Nie dam mu się, jakom żyw; Ruś nań caluchną ściagnę i Połowców i Jaćwę i co gdzie jest wszelakiego wója z najdalszego krańca.

Na to mu zsiadłszy z konia i do nóg się pokłoniwszy, rzekł Petrek. – Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześcijańskich przystało. Proszę was o to tylko, abyście mi łaskawego nie skąpili ucha.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogębie mówić więcej nie śmiał – to mu już dobrym będzie.

Siedli tedy za stół i pili razem i jedli, gadali o łowach i o ruskich sprawach i o niewiastach i o stratach, ale o królu o Krzywogębie ni słowa. A gdy zapili się tak późno w noc, rzekł mu Wołodar, idź i lęgnij spać, bo kury pieją, a miód w mózgu

kręci.

Drugiego dnia zwołał swoich posadników, bojarów, drużynę kniaź Wołodar i znów posadził kuma za stół i poił go. Mówili o wszystkim, a gdy Petrek króla wspomniał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzył aż stolnica pękła i rzekł – o nim mi nie mówcie. Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

Gdy już drugiego dnia szli spać, rzekł Petrek. – Do domu powrócę ze sromem bo z niczém! Zatrzymał go kniaź jeszcze, tylko mruknął. – Nie gadaj, że powrócisz z niczém, gdy głowę całą przywieziesz na karku, ona taki coś warta.

Dnia trzeciego pili znowu sam na sam do wieczora, wieczorem im niewiasty służyły i śpiewały. A była przy Wołodarowej żonie plemienna jěj, Swiatopełkówna Marja, piękna dziewczka, którą Petrek napatrzył gdy im miód nalewała. I rzekł do kniazia Wołodara.

– Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie. Na co Wołodar mu odpowiedział śmiejąc się a pocmokując. – Bo niema nigdzie niewiast jak na Rusi i w Kijowie, a to kniaźna jest i wiedzma kijowska. I nie weźmie jěj chyba król a mocarz, albo taki pan co carskiej jěj krwi godzien będzie, bo w niej Cezarów krew płynie.

A Petrek głową potwierdzał, i pili do nocy późnej z sobą. Gadać o królu i tego dnia nie dał mu Wołodar, bo się zaraz do noża brał. Żegnał go Petrek. – Jadę jutro rano. – Ja téż jutro na łowy, – odparł, Wołodar, – jedź ze mną razem; gdy się łowy skończą, wracaj sobie do domu, do tego co cię posłał i powiedz

mu, że jego ziemię na kopytach rozniosę, spalę i zniszczę, bom mu wrogiem, a druhem nie chcę być i nie będę.

Nazajutrz do dnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem, Petrek wiedział gdzie konie swe i ludzi w lesie zostawił i pokierował tak, aby Wołodar z nim na zasadzkę wjechał. Zmówione to było, bo gdy razem pili, sam Petrek na łowy wyzywał, choć się kniaziowi zdało iż on ich zażądał. – Trąbką ludziom zasadzonym dał znać, aż gdy w gąszczu wjechali, oskoczyli ich zewsząd Petrkowi. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet pęta na ręce rzucili i na nogi, oręż odjęli i przywiązanego do konia gnali z sobą nie ustając, choć pienił i krwią buchał.

A Petrek mówił mu. – Wrogiem się czyniłeś pana mojego, bądźże jego niewolnikiem. Co on z tobą postanowi to będzie.

Tak gnając z nim dzień i noc przez lasy uwiózł go precz, a ludzie Wołodarowi po kniejach trąbili szukając go napróżno, myśleli że niedźwiedź roszarpał, albo dzikie bestje nocą pożarły. Wprost wioził więźnia na zamek do króla Petrek, a gdy król go zobaczył, oczom wierzyć nie chciał, wołając. – Czarownik jesteś.

– Jam sługa twój – odparł Petrek. Słowam dotrzymał; trzymajże ty swoje królu a panie, bo mi się to należy, szyjem stawił.

A tak się stało, że Petrek okup ogromny wziął i wszystkie skarby Wołodarowe za żywot jego; król zaś z jeńca nie wziął więcej niż jego przysięgę na krzyż i księgę, że z nim wojować

nie będzie. Petrko zaś dodał – skarbów mi mało, skoro Maryi Swiatopełkownej mieć nie będę – tę mi musisz dać albo ci życie wezmę. I z bogacił się pan Petrek skarbami i żonę dostał jaką chciał, a król go swoim Wojewodą wielkim uczynił i gdy umierał, dał mu nad synami opiekę. – Oto jak rósł i urósł pan nasz....

– A dobrzeż urósł – podchwycił Tymoch, – że kuma co mu zaufał zdradził, tego z którym chleb łamał, jadł i pił, w zasadzkę uwiódł i pochwycił a wydał? dobrzeż to?

– Héj! héj! – odparł dziad – co wojna, to nie mir, nie zna ona kumów ani braci! Przecież Petrek grzech swój znał i zna i za to kościoły buduje. Skarby wysypuje, pokutę odprawia. A co uczynił dla swojego pana, ocaliwszy ludzi tylu, którzy przez wojnę ginąć mieli? toć nie grzech a zasługa. Służył temu komu przysięgał. A widać że mu tego za grzech pan Bóg nie poczytał, bo jako rosnać począł za Krzywoustego, tak rośnie i teraz, a co wysypie na kościoły to mu się wnet powraca Bożą mocą, kto mu kamieniem rzuca, na tego się on odbije! Héj! héj!

Gdy dziad prawił, noc była nadeszła, Tymoch milczący zabierał się już do wozu. Z gościńca w tém poczęło się wołanie powtarzane.

– Bywaj tu! bywaj! Jest tam kto?

Wybiegł Mikuł o kamienie przy ognisku obraziwszy nogę, kulejąc. Przed gospodą na koniu siedział zbrojny mąż stary, chudy, kościsty, czeladzi koło niego kilkoro się kręciło, a on wołał o światło i gospodarza i sierzdił się.

Wyniesiono zapalone łuczywo, wysunął się z za stoła i

młody podróżny popatrzeć – wyglądał kto żył. Przybyły wzrostu olbrzymiego prawie, nieco wiekiem przygnębiony ale krzepki, srebrnowłosy, bardzo rycersko patrzył. – Zbroją miał przy sobie i na sobie, miecz i mieczyk, a hełm wisiał tuż na koniu za rzemyki uczepiony.

Pytał do Wrocławia, a konie jego buchały parą i bokami robiły. Zsiadł wreszcie, aby tchnęły nieco.

Tymoch korzystając z téj chwili zamętu, do wozu swojego się przesunął, i wnet konie pognawszy, na gościńcu zaturkotał. Dziad zobaczywszy rycerza przychował się do kąta. W tém na drodze znowu zatętniało i wóz długi stanął u drzwi. Mikuł ledwie miał czas gościom się pokłonić, czeladź zwijała się żywo. Z długiego wozu dobył się w czarnej sukni duchowny. Tych naówczas więcej szanowano niż rycerzy, więc Mikuł przybiegł rękę całować i kolana ścisnąć, choć rozmówić się z nim nie umiał, bo on czarny mnich, jak się okazało, Francuzem był i nad kilka połamanych słów polskich więcej nie znał.

Rycerz i mnich weszli do izby pospołu, stary wprzód pokłonił się ojcu i mało co doń zagadawszy, wnet na język jego trafił, tak że się dobrze rozumieli i przylgnęli do siebie.

Młody podróżny sam przyzostał na uboczu.

Mnich otyły, rumiany, wesołej twarzy, wcale na surowego pokutnika nie wyglądał, ani nawet na zakonnika. Suknię długą miał podkasaną, postawę a ruchy więcej żołnierskie niż klasztorne.

Zaledwie wszedłszy już śmiejąc się do Mikuły wołał o miód,

rycerzowi się spowiadając, że bo z pragnienia marł, a po drodze woda była w studniach obrzydliwa. Dla nikogo też gospodarz tak się nie zwijał, jak dla opasłego mnicha, i nie dziw, karczma bowiem do czarnych należała i jak swym panom służyć im musiał. A z oczu mnichowi patrzyło, że nie dałby sobie chybić, bo choć oręza żadnego nie nosił, kij w rękę trzymał kuty potężny, który stałby za oszczep w potrzebie, i rękę miał silną, co tym kijem mogła tego obracać i lice takie, którego się musiał ułęknać kto w nie spojrzał, bo choć niby wesołe i rumiane, groźne było zarazem i zuchwałe.

Od progu już stary rycerz i czarny mnich, języka od siebie wzięwszy, przystali jeden do drugiego. Stary był jakby dla takiego mnicha na towarzysza stworzony. Wojaka w nim poznać było łatwo i z ramion silnych, z blizn mnogich i z twarzy pomarszczonéj i nasepionéj, na której brwi nawisłe, kępiaste, najeżone, na pół zakrywały oczy połyskujące dziko. Gdy mu się usta blade ścięły a zapadły, bo zębów już był postradał – strach brał co z nich wyjdzie gdy się otworzą. Odziany był i zbrojny dostatnio a nie pysznie; ręka którą ukazywał, tak się zdawała ogromną, jakby dęby z korzeniem wrywać była nawykła.

Mnich czarny, gdyby nie otyłość siłą by mu sprostął. Wnet też swój swojego poznał, poczęli coś głośno rozprawiać obcą mową, a hałasowali. Młody podróżny wciąż się od nich na stronie trzymał.

Gęślarz z kąta, ciekawie poglądając, słuchał, z komory wyzierała Samicha i para przebudzonych, pół nagich dzieci.

Ci tak się zagwarzyli z sobą, że ani zważali czy ich kto słucha, bo i nie obawiali się snać, aby ich prości ludzie rozumieć mogli.

Stary rycerz, gdy miód podano, mnicha z kubkiem do stoła wiodł, tu mu miejsce pierwsze zrobił, sam też na ławie przy nim zasiadł i dopiero teraz, wzrokiem powiódłszy dokoła, szukając znać gospodarza, trafił na młodego podróżnego, który stał, jako sobie pan, nic nie okazując ani trwogi ni poszanowania.

Popatrzył nań stary i ostro go zagadnął.

– A ty coś zacz?

– Podróżny – rzekł młody dumnie.

– Któżci to?

– Wolny człek jako i wy, i tego samego pono rzemiosła – odezwał się zapytany.

– Cóż, rycerz? czyj? pytał stary.

– A swój, dzięki Bogu! rzekł dumnie młody z pół uśmiechem.

– Przecież komuś służycie – mówił stary marszcząc się.

– Tak jako i wy? A wy, komu? odparł młody.

– Ja książęciu Władysławowi panu naszemu.

– No – i ja też innego pana nie znam.

– A toć mi pyszny pan! śmiał się stary.

– Czemubym nie miał być! mruknął ów.

W czasie, gdy się tak jakoś ostro zagajała rozmowa głosami poruszonymi, mnich na młodego poglądał zuchwale, mierząc go oczyma groźnemi, wzrokiem niby staremu wtórując, gdy nie mógł mówą. Młody i tych oczów wcale się nie zdawał obawiać.

– Nie dogadać bo się z wami! zawołał stary kubka się imając.

– Toć was téż gadać ze mną nikt nie siłuje – odrzekł po izbie się przechadzając swobodnie młodszy. Gdy się tak poruszać zaczął, psy jego, które w kącie były legły, podniosły się ku panu idąc. Ten je głaskał a pochylał się do nich. – Rycerz wlepił w nie ciekawe oczy, widać że go zdziwiły i ze psów téż o ich panu począł inaczej sądzić. Więc mruknął.

– Nie lada sobaki, bodaj kędyś z dalekiego kraju – nie nasze. – Młody pytania jakby nie słuchał. Wtedy mnich domyśliwszy się, że się oni z sobą nie porozumieją, odezwał się swą mową do starego rycerza.

– Zapytajcie no gospodarza, ten wam powie kto u niego gości, znać go musi.

Skinął rycerz na stojącego opodal Mikułę, ten się zbliżył.

– Kto jest ten ze psy? zkąd?

– Obcy – odparł Mikuł – nie znam go.

Nie było więc rady, obrzuciwszy go znowu oczyma ciekawymi, mnich z rycerzem rozmowę dalej ciągnęli.

– Niepocześnie odziany, mówił stary półgłosem, ale może być i nie prosty człek, bo mi się nawet nie pokłonił. Musi w okolicy mieszkać, choć go tu nie znają, boć ze psy pewnie z łowów jedzie.

– Szkoda, że języka waszego mało znam – rzekł mnich swoją mową, dobyłbym z niego zaraz kto jest.

– Ojcie przewielebny – odparł śmiejąc się zdala stojący młody, jeżeli o mowę chodzi, jać waszą rozumiem niczego, i tę którą dalej na południu mówią i tę co nią szwabyszwargoczą.

Posłyszawszy to oba i mnich – i rycerz głośno się rozśmieli, a

stary zaraz powstał rękę wyciągając.

– Siadajcież, bracie, z nami, zawołał – po mowie znać, że do nas należycie. – Suknia mnie zwiodła – staremu nie miejcie za złó.

Młody wnet rozchmurzywszy twarz powoli, z poszanowaniem do stołu przystąpił. Naprzód mnicha w rękę pocałował, potem staremu się pokłonił, aż z boku na ławie, jak młodemu przystało, zajął miejsce.

II

Mnichowi tak jakoś rażno było, że dla gęby towarzyszków znalazł, z którymi się mógł rozmówić, że mu się już nazad do wozu nań oczekującego nie chciało: Miód popijał, coraz o stół kubkiem stukając; śmiała mu się twarz szeroka, zwracał się na przemiany to ku staremu, to do młodego, rozparł wygodnie plecy do ściany przyłożywszy, i tak gwarzył, jakby już w refektarzu swym spoczywał.

– Do klasztoru mi nie pilno – mówił – jest ci komu na chwałę Bożą w chórze zaśpiewać, a i do wszelakięj roboty braci dosyć. Trochę się na swobodę wyrwawszy człeku rażniej, zapomni choć, że tę czarną suknię nosi i głowę ma wygoloną.

– A dawnoście tu u nas w tym kraju? zapytał stary.

– Już bo lat kilka – mówił mnich, – wydały mi się wiekiem prawie. Choć z kraju Gallów jestem rodem, żyłem wprzód na Monte Cassino, w italskiej ziemi, gdzie dobre wino rośnie. Nie po dobrej woli się w te wasze puszcze zabłąkałem, posłali mnie ojcowie pod obediencją. Jeszczeż lato jak lato, jesień pół biedy, ale zima pół roku i duszę ze człeka wymraża!

Westchnął ciężko.

– Co za kraj! co za powietrze! – dodał – niedźwiedzim tu żyć, którym pan Bóg dał futra królewskie, nie nam gołym ludziskom.

– Jam téż – przerwał stary – tułając się po świecie odwykł był od swęj ziemi i nieba, marznę téż i ja – ano niczém mróz, gdyby

ludzkie serca cieplejsze były. Westchnął z kolei, oczy w ziemię wlepiwszy.

– Jakże tu ludzie ciepli być mają, odezwał się jowjalnie mnich, krew w nich zastyga od chłodu. Gdyby choć jak bobaki zimę przesypiać mogli?

Zwrócił się do młodego.

– Wyście też pewnie kędy dalej bywali, gdy językiem cudzym dobrze mówicie? – Zapytał stary.

– Trochę, trochę – począł młody, – więcéjbym świata jeszcze zobaczyć pragnął, ale to z pomocą Bożą kiedyś się uczyni.

Mnich tymczasem coś sobie półgłosem podśpiewywał po łacinie, nogą bujając w powietrzu. Kubek w dłoni trzymał, i miód posmoktywał, patrzył na Samichę, która ogień pośrodku izby roznieciwszy, warzyć coś poczyniała.

– Wyście się tu porodzili – począł – wam tu znośnie, ba i dobrze być może; dla nas gorsza więzienia ta ziemia. Niema czém pocieszyć ni oka, ni duszy. Morza nie ujrzeć, szumu jego nie posłyszeć, gór niebotycznych nigdzie, równiny jak na dłoni, lasy a lasy i lasy na nich szumią, rzeki ospałe płyną jakby się pomęczyły, błoto i piasek! piasek a błoto! Na drzewach nędzne szyszki rosną, wino choć go sadź i chuchaj nie dojrzeje – kraj wasz nie dla ludzi!

– Wybyście się nań skarżyć nie powinni, – przerwał stary – wam tu mało nie jak w raju. Ziemi, pól, wody, lasu, służby do nich macie dostatkiem i do woli. Królowie, książęta, my też dajemy wam wszyscy, biskupi na rękach noszą – toż królujecie

u nas!!

– A cobyście téż wy bez nas poczęli? – zawołał mnich, oczyma mrugając. – Gdyby nie Włosi, nie Francuzi, potroszę i Niemcy, pana Boga byście nie znali, któżby u was wiarę Chrystusową krzewił? Waszych duchownych tyle tylko prawie macie co po wsiach, po plebaniach siedzą i niezgorzėj katechizm umieją – nie wiele co więcéj. Jak książkę na wagę złota, tak i nauczycieli do niéj na wagę złota kupować musicie, inaczej byście po wiek wieków w ciemnościach zostali.

– Juści téż do tego powoli przychodzimy, – odezwał się młody, – że swoich księży i biskupów mieć będziemy przecie.

– A coby biskupi wasi i księża bez nas zrobili! – odparł Francuz. – Wasi polscy biskupi nie wiele znają, księża jeszcze mniéj, po chałupach z dziećmi i żonami siedzą, do stodół zboże ściągają, pociechy z nich nie wiele.

Zaśmiał się.

Oba przy nim siedzący posępnie jakoś zamilkli.

– Nie mówię zła na nikogo – dorzucił mnich gadatliwy, – a uchowaj Boże przeciw ks. Janika z Brzeźnicy pasterza waszego... Toć zacny pan! zacny pan. – Wszelako coby on poczynął bez Roberta Archidiakona?? he?

Więc, choćbyście wy nam, idącym do was na szrony i lody, suknem i szkarłatem drogi wyścielali, nie skarżcie się. – Jest za co, światło niesiemy!

Zanucił znowu coś po łacinie, nie z tego tonu co w chórze, ale wesoło i raźno, jakby do gospody na gościńcu. Trudno go było

zrozumieć.

– Miły panie, odwrócił się popiwszy do starego, ja mam imię Maura, wiecie kto jestem i z jakiego Opactwa, bom od św. Wincentego, dajcież wy się mnie znać.

– Ho! ho! zaśmiał się stary – gdybym ja wam opowiadać chciał com za jeden, słuchałby wam się odechciało. – Wielem przeżył a osobliwych przygód i dziejów. Ale wy chyba jeden, ojcie Maurze, żywota mojego nie znacie, drudzy o nim po całej ziemi naszej wiedzą i rozpowiadają. Głośny on się stał za Krzywoustego, któremu Bóg daj niebo, że mi sprawiedliwość wymierzył.

Jam – Żegota Zaprzaniec.

To mówiąc, spojrział ku młodemu, a ten dopiero kołpaka nachyliwszy, nisko mu się pokłonił.

Wesoły mnich popatrzył nań i dotykając ręki poufale – odezwał się.

– Srodzem ciekaw życia waszego. Kiedym do klasztoru nie powrócił, dopóki furty nie zamknęli, co mi tam? posiedzę z wami! Swobody zażyję, miodu się napiję – mówcie, proszę.

– Po setny chyba raz dla was swoją historię powtórzę – odezwał się stary popijając trochę, jakby sobie usta chciał zwilżyć.

Wielem już ludzi tą gadką karmił, aż mi się samemu obrzydliwą stała. – Nic to, mogę ją jeszcze raz gwoli Ojcu powtórzyć.

Pomilczawszy trochę, pogłaskał brodę stary i tak począł:

– Jeszcze nieboszczyka króla Bolka ojciec dogorywał w Płocku, gdy ja, naówczas młodym będąc, nasłuchawszy się dużo od obcych księży o krajach różnych, zawział wielką ochotę je zobaczyć. Żył naówczas ojciec stary i dwu braci moich, Nawój i Sędziwój. Siedliliśmy się naszym rodem z prastarych czasów wedle Krakowa, tam było gniazdo i ojcowizna Starzów. Ziemie na okół mieliśmy szerokie, i staliśmy między ziemiany na czele. Zapalono wici na wojnę, a zawołano – Starża! tysiące ludu szło naszego z toporami po staremu.

Gdym się u nieboszczyka ojca prosił, aby mnie trochę puścił w świat, ofuknął się ani słuchać o tém nie chcąc. Było co robić koło domu. Mnie piekło skosztować i zła i dobra, a popatrzeć jak się to tam gdzieindziej dziewało. Więc, ojcu się już nawet nie opowiedziawszy, pod pozorem łowów, na młodym koniu siwym, którego sobie sam ujeździł, zbroiczki nabrawszy trochę, puściłem się naprzód na dwór królewski, niby służby wojennej szukając, że mi się w pokoju mierzilo. Ztąd gdy Niemcy jechali precz do siebie, którzy byli z Magdeburga za jakąś sprawą posłani, z niemim się jako jeden z nich wykradł, naprzód do onego Magdeburga. Ale tu między żołnierstwem biskupiém, panami i różnym ludem żołdaczym, niedługom wyżył, niewielem też zobaczył. Zaciągnąłem się do cesarskich, Henrykowych, wówczas kiedy już ów cesarz sam chwiał się na swoim tronie, o czém ja młody nie wiedział. Majestat zdał się wielki i rycerstwa koło niego, pięknego, dużo się jeszcze zwijało – a ci mnie między siebie przyjęli. Henryka Bóg pokarał snąć za

to, że na Ojca chrześcijaństwa całego się porwał, na rzymskiego biskupa i papieża, a teraz nań téż własni synowie godzili, chcąc mu berło wydrzeć z dłoni. Mnie tam naówczas młodemu nie było w głowie kto panował, inom patrzył ktoby mnie zawiódł daleko, abym coraz nowe ziemie oglądał. Z cesarskim się więc po niemieckich ziemiach tłukł naprzód, różnego losu zażywając. Jeden syn co się był na cesarza Henryka porwał, zmarł jakoś, z pomsty Bożej; wnet i drugi po nim Henryk także się podniósł przeciw ojcu. A miał z sobą i Papieża rzymskiego i Bawarów i innych wielu.

Jam z ojcem cesarzem i Niemcami jego szedł, gdy nad Regenem pod miastem Racisboną, spotkaliśmy się z wojskiem synowskim. W sierpniowy skwar zeszyły się zastępy, a już syn między naszymi wielu miał swoich i cesarscy bić się nie chcieli, swoją krew przelewając.

A toć wszyscy pono wiecie, jak potem cesarza syn więził i zamorzył, bo ze strapienia i zgryzoty zmarł Henryk stary.

Nawet ciało jego potem z grobu Papież kazał wyrzucić. – Ze służby ojca poszedłem do syna, choć mi temu ojcobójcy służyć się bardzo chciało. Tegom jednak dopiął z tym synem, czego z ojcem nie mogłem, bośmy z nim pociągnęli na Włochy.

Byłem onych dni krwawych w Rzymie, gdyśmy się ledwie motłochowi zburzonemu obroniwszy, Papieża pojмали i zmusili go, aby czynił po woli cesarskiej. Stałem przy tém gdy go Paskal biskup rad nie rad, ze łyzy na oczach koronować musiał, a łyzy te jak groch na koronę cesarską z przekleństwem padały.

– Ho! ho! – zaśmiał się przerywając Ojciec Maur – wyście to i Rzym nasz widzieli. A znacież jaka u nas o tym Rzymie Ewangelia chodzi? – mówił wesoły klecha. – Pewno nie? Ja ją na pamięć umiem. Chcecie to posłuchajcie...

Stary Zaprzaniec przerwał swe opowiadanie, z ukosa patrząc na mnicha. Ten powstawszy z ławy, minę uczynił niby pobożną, w rzeczy szyderską, i jakby w kościele do czytania Ewangelii się zabierał, głosem grubym rozpoczął:

„*In illo tempore dixit Papa Romanis...*”¹ Onego czasu rzekł Papież do Rzymian. Gdy przyjdzie syn człowieczy, do tronu majestatu naszego, rzeczcie mu naprzód: Przyjacielu, czego przychodzisz? A jeżeli trwać będzie pukając, a nic nie dając wam, wyrzucie go precz w ciemności zewnętrzne. I stało się, że przybył jeden klecha. —

Mnich z pobożnością niby wielką zabierał się ciągnąć dalej, gdy młody rycerz, na uboczu stojący, poruszył się i odezwał cicho.

– Ojcze przewielebny, nie godzi się nam słuchać rzeczy tych, które na pośmiewisko sprawy biskupa rzymskiego podają. Popadlibyśmy w grzech znaczny. Duchowni sobie żarty stroić mogą, bo to tam ich sprawy, nam świeckim ludziom, nie przebaczyłby spowiednik.

Mnich się zwrócił ku niemu, z nieco szyderskiem wejrzeniem.

– Chwali ci się to – odparł siadając, – że boicie się grzechu!

¹ *In illo tempore dixit Papa Romanis...* – ewangelia ta satyryczna u Du Méril'a *Poësies latines avant le XII siècle*. p. 407. [przypis autorski]

Ano, Ewangelia moja była piękna, i nie posłyszycie jęj już, bo więcj nie powiem.

Spojrzał ku staremu, od którego się może czego innego spodziewał, ale i ten brwi nachmurzył, głowę zwiesił i widocznie mu szyderstwo z rzeczy świętych nie w smak było.

– A wy co na to? – zapytał go Maur.

– I jam nie rad słuchać nic co mi sumienie obciążyć może – rzekł Zaprzaniec. – Dobrze powiedział młody, sprawy to wasze, nam nic do nich.

O. Maur śmiać się począł.

– I wam się to chwali – rzekł, – na próbę brałem, a wyszliście z nięj dobrze. Wam tego słuchać nie przystało, boście świeccy, dzieci i sługi nasze, mnie wolno, bom ja u siebie doma a tak dobry jako i ci, których na biskupów święcą.

Potarł szeroką dłonią głowę – milczeli wszyscy. Ojciec Maur widząc, że mu się z jego żartem nie powiodło, wnet zagał.

– Ano – mówcie dalej, mówcie, coście tam w tym Rzymie i gdzie dalej widzieli. Ja choć sobie z Rzymu drwię, ziemię tę italską kocham mocno. Niema życia jeno tam, alem się nad Tybr próżno prosił, posłali mnie na lody i śniegi.

Zaprzaniec spoczawszy dalej mówił.

– Byliby nam Normandowie z Kapui bieząc na obronę Papieża uszu i grzbietu natarli, gdyby się prędzej pospieszyli. Przyszli za późno, gdy Henryk już cesarską koronę wdział i co chciał to na Papieżu utargował. Powracaliśmy do Niemiec, gdy Papież za nami pognał odwołaniem tego co mu siłą było wydarto i nasi

biskupowie cesarzowi z rozkazu jego opierać się zaczęli.

Byłem ci i ja na weselu cesarskiem, a potem znowu we Włoszech, gdyśmy szli wojować, a papież musiał uchodzić z Rzymu przed nami. I takem drugi raz w życiu ów gród osobliwy oglądał.

Długoby to opowiadać było, cośmy się z cesarzem tym nawłóczyli po świecie i natłukli dopóki pokój z Papieżem nie stanął. Cesarz też zmarł właśnie gdym się z nim na Franków wybierał.

– Bo się ich zląkł – wtrącił Maur. – U nas tego czasu ruszyło się co żyło, a libiby go i was w miazgę starli, pod chorągwią św. Dyonizego!

Stary głową potrząsnął.

– Kto wie coby tam było – rzekł. – Mnie się też już było naprzykrzyło owo szukanie guzów po świecie, i gdy Lotariusza sasa obrali, jam się do jego rycerstwa przyłączył, przeciw Frankońskiemu Konradowi.

Na niedługo. Do domu się bardzo tęskniło, gdy się Niemcy z sobą za łby brać gotowali, jam samotrzeć z pachółkami dwoma i trocha tego, co się po świecie uciulało, do domu zawrócił.

Sławnym to powrót był – westchnął stary, – niechaj od takiego pocziwych ręka Bozka broni. Żłem uczynił, żem zamiast wprost na dwór króla Krzywoustą, pociągnął do swoich, do braci, bo ojciec nie żył, ale tęsknica się w sercu odzywała do swoich i bodła.

Rodzica mi żal było, żem go przy życiu nie znalazł, do braci

tém spieszniej było – wierzyłem w serca braterskie.

Było to, jak oto teraz, jesienią, gdym na tym samym koniu, którego z domu wywiódł, co mi się w niejednej srogiój bitwie wysłużył i życie ocalił, który, jako i ja, rany miał i blizny – przywłókł się pod Tęczyn.

Myślałem sobie, dać się im zawczasu poznać, czy nie? Próbować postanowiłem, czy też poznają. Zatrąbiłem u wrót. Wyszedł odźwierny z zapytaniem – kto? – Rzekłem mu rycerz obcy, podróżny o gościnę prosi. Puścili mnie.

Braci doma jakoś zastałem obu, z łowów powracających, z mnogą drużyną, a gdym się oznajmił, że téj ziemi ojczycem jestem i u cesarzom służywałem, wzięto mnie do stołu poczestnie i ugaszczano.

Jam w nich braci poznawałem łatwo, choć postarzeli wiele, oni mnie jako żywo. U wieczerzy tedy gdyśmy siedzieli, rzeknę im, żem z cesarskimi po Włoszech się włóczę, i widział i znałem człowieka, który się mienił z krakowskiej ziemi od Tęczyna, a zwał się Żegota.

Spojrzeli po sobie, zdumieni trochę i Nawój się pierwszy odezwał.

– Byłci to bodaj brat nasz, ale słyszeliśmy, że tam kędyś na obczyźnie głową nałożył, bo warchoł był zawsze z młodych lat i ojcu śmierci nieposłuchem swym przyspieszył.

I dobrze uczynił – dodał Nawój, – że zginął, bo tu nie miał po co powracać.

Na tom rzekł. – Azali zginął nie wiem, bom ci go żywym

ogłądał, a o śmierci wcale nie słyszał.

Poczęli tedy od téj chwili jakoś koso na mnie spoglądać, a żem się tém i owém pytaniem wydał, iż ziemię i okolice znam dobrze, dziwowali się, zkądem o tych ludziach wiedział i o sprawach ich. – Na tom rzekł. – Niema się czemu dziwować, bom tutejszy. Na to nic już nie odpowiedzieli, tylko widział, że mnie na oku trzymali mocno, chwili nie spuszczać ze mnie wzroku.

Gdy pora do snu przysła, komornikowi zawieść kazali spać do izby pod wieżą, za którą podziękowawszy im, rzekłem, żem zdawna obyczaj miał tam sypiać, kędy koń mój stał, bo mój siwy do mnie a ja do niego jak do brata i druha nawykłem.

To rzekłszy, do szopy szedłem na sienne pośłanie, na co, choć się pomieszali, nie odpowiedzieli nic.

Gdym się już do snu, konia opatrzywszy, miał układać, a była noc księżycowa jasna, posłyszałem szelest i – patrzę, stoi we drzwiach szopy postać jakaś, jakby widmo niewieście. Domyśliłem się kto był, bo przy wieczerzy, gdy niewiasty posługiwały, nadzorującą nad niemi starą Nanię poznałem, która mi niegdyś mamką była. I widziałem, że oczów nie spuszczała ze mnie i głosowi się memu przysłuchiwała z kąta, dziwnie ręce łamiąc. Nie sądziłem jednak, aby poznać mnie miała. Obaczywszy postać w bieli tknęło mnie zaraz, że nie kto inny, ona była.

Ta obejrawszy się dokoła, ostrożnie pocichu przystąpiła do pośłania mojego, po imieniu wołać począwszy. Nie zapierając się więc, wstałem witać ją, która się od łez i jęku, całując nogi i

ręce moje, wstrzymać nie mogła, a nie rychło się ukoila z płaczu srogiego, radości i trwogi jakiejś.

Gdy się nieco uspokoiła, mówić dopiero zaczęła, że po wyjściu mojem, bracia moi podejrzenie powziawszy, azalim nie był Żegota, długo się naradzali, co począć mieli.

Mówili między sobą. – Co pocniemy, jeżeli on Żegotą jest? Mamyż mu oddać część jego ojcowizny, którąśmy zawładali i między siebie rozdzielili? – Sędziwój rzekł naprzód.

– Dopókim żyw tego co trzymam wydzierać nie dam sobie. – Choćby Żegota był, jak on się wywiedzie, że bratem jest naszym? Lat minęło mało nie trzydzieści, gdy opuścił ten kraj, ojciec go znać nie chciał, i my nie będziemy.

Po czém naradzali się jeszcze i postanowili, dla bezpieczeństwa rzucić mnie do ciemnicy i trzymać w niej, ażbym się albo siebie wyrzekł lub marnie w niej zczeznął.

Mamka mnie zaklinała, abym natychmiast nocą uchodził i szedł do króla z żałobą, której mąż stary wrotnym był i ten mi miał otworzyć bramę. Rzekłem na to niewieście, iż nie może to być, aby mieli na własną krew rodzeni bracia nastawać. I choć u nóg mych leżąc, błagała z płaczem, ległem na siano spać, nie powziawszy strachu.

Jakoż nazajutrz szedłem do komnat ich, jedliśmy i pili znowu, tylko widział, że mnie oczyma śledzili, coraz pilniej o brata swojego badając. A gdy się już uczta miała ku końcowi, powstałem z kubkiem w dłoni podanym, i odezwałem się.

– Pytaliście mnie o brata waszego, a oto on, Żegota brat wasz,

który staje przed wami. Jam jest.

Struchleli zrazu – popatrzyli na się. Sędziwój pierwszy ochłonął i odparł z uśmiechem.

– Dobryś nasz brat, doznasz takiego przyjęcia, na jakieś zasłużył. Od nieboszczyka Żegoty nasłuchiłeś się o nas i nauczył, przychodzisz nam kłamem i samozwaństwem ojcowiznę wydzierać.

Oba wnet na czeladź huknęli.

– Wiązać i do ciemnicy rzucić zdrajcę.

Zaklinałem ich, aby tego nie czynili a nie obciążali sumienia krwią braterską, ale się oba z drużyną swą rzucili na mnie nawałem. Jam też miecza dobył i obraniać się musiał. Na mnie jednego ludzi było dwudziestu, obalili więc, z tyłu pochwyciwszy, na ziemię, i związanego, skrępowanego rzucili, jako chcieli, do lochu, drzwi zabiwszy, gdzie mnie głodna śmierć, powróż pewnie lub miecz czekał.

Łaską Bożą stara mamka, jak skoro krzyk i wrzawę posłyszała, domyśliwszy się co się stało, ze dworu natychmiast wybiegła, wprost do króla do Krakowa, gdzie właśnie bawił podówczas pan spoczywając po wojnie. – Padła mu do nóg z jękiem wielkim, wszystko wyznawając i ratunku dla mnie, jakby dla własnego błagając dziecięcia.

Jam, o niczym nie wiedząc, na barłogu leżał, nie mając nawet ani chleba ani wody kropli, gdy na wieczór łomot, tentent i wrzawę posłyszałem wielką w podwórcach. Anim wiedział co było, śmierci się spodziewając i do niej gotując,

rozmyślając w sobie, iż mnie ona od obcych ominęła, aby mi ją swoi zadali. Tymczasem król, poruszony płaczem niewiasty, natychmiast konia podać kazawszy, przybył na zamek sam, aby sprawiedliwość wymierzyć.

Gdy im o panu znać dano, Nawój i Sędziwój pospieszyli naprzeciw, nic się nie dorozumiewając, z pokłonami, nogi całując a do zamku zapraszając na spoczynek. Przyjąwszy to król, nic im zrazu po sobie poznać nie dając, szedł do izby, gdzie już stół mu zastawiono i gotowano ucztę wielką.

W tém, gdy do mis zasiedli, ozwie się pan nagle, iż mu od cesarskiego dworu znać dano, jakoby trzeci ich brat był żywy, a miał do domu powracać.

– Nie może to być, miłościwy panie, rzekł Sędziwój śmiało – bo wiemy to na pewno, iż zmarł ubity, gdy z cesarzem Henrykiem do Rzymu wchodził, i w ulicach zamieszka była z papieżkim ludem, którego Włoch albo Normand dzidą przebił.

– Musiał się on z onęj dzidy uleczyć – odezwał się król, bo na pewno donoszą, iż żyw jest. Jeźliby zaś kłamca jaki na siebie zbroję jego wdział i imię przywłaszczył, słusznaby go ująć i karę, na jaką zasłużył, domierzyć.

Na to bracia zamilkli strwożeni bardzo, nie chcąc przyznać się do tego, że mnie już mieli i do ciemnicy wrzucili.

Król tedy poczekawszy mało i widząc, że milczą, wstał, misę od siebie odsunawszy, kołpak na głowę nałożywszy i miecz pokładając przed sobą, zawołał.

– Jużem ja tu nie gość ale sędzia najwyższy. – Niechaj tu

stanie ten, któregoście do ciemnicy wrzucić kazali.

Ukleli się oba straszliwie i zmartwieli, choć chcieli wykłamywać się, nie mogli już. Sędziwój na kolana padł przed królem, miłosierdzia błagając. Król wołał.

– Tu mi go stawić na sąd z wami, jeśli żyw, niech stanie, jeśli trup, wy głowy dacie pod miecz katowski.

Gdym posłyszał chrzęst wielki i wołania a bicia we drzwi ciemnicy, które mamka okazała, Bogu duszę polecałem już, myśląc że mi tu zaraz głowę dać przyjdzie a na ścięcie mnie wywloką.

Odbito drzwi, ujrzałem królewskich ludzi, którzy mnie poczestnie pod ręce ująwszy przed króla zaprowadzili.

Temu, gdy pokłon oddałem, rzekł mi.

– Mów jakoś wyszedł, gdzieś i z kim był i jak powrócił, a wywiedź się i okaż, żeś nie jest samozwańcem i oszustem.

Duch tedy wstał we mnie i poczęłem opowiadać całe dzieje moje, jakom jechał, com i gdzie poczynął, i jak w końcu od Łotarza saskiego uszedłem do swoich. W tém, przecisnąwszy się przez tłok ludzi przystąpiła mamka stara i poprzysięgła jako poznała mnie za dziecko swe, które jój piersi ssało. Ukazałem też znak na ciele rodzimy, o którym wszyscy wiedzieli, że z nim na świat przyszedł: Król tedy uznał, że praw był.

Co widząc bracia kajali się, mówiąc że przyznają mnie, a jam odparł, iż jako żyw znać ich nie chcę. – Ojcowizny część, jaka mi należy, odbiorę, ale rodu i zawołania z niemi trzymać nie będę i wolę zwać się od **starego konia**, który mi służył, niż od ojca co

mnich przeklął i braci co się zaparli.

Za czém się nazwałem Zaprzańcem; i dzieci moje nosić będą to imię, aby się pamięć zachowała przygody mojej na wieki.

Dokończywszy opowiadania stary westchnął, czoło potarł, które zmarszczki okryły, a mnich dziwować się począł i uzalać, sławiąc Bożą opiekę nad nieszczęśliwym Zaprzańcem.

Młody podróżny odezwał się téż, że o historyi téj dużo słyszał, a szczęśliwym był, iż na swe oczy oglądał tego, który tyle przecierpiał i doświadczył.

– A żebyście wiedzieli, rzekł w końcu, ktom jest i że się z rodem moim taić nie chcę, powiem wam o sobie, bo mnie tu niezna nikt. – Zwę się Markiem Jaksą z Miechowa, a krwi jednéj jestem z księdzem Janikiem, który biskupem jest na wrocławskiej stolicy.

Mnich mu się pokłonił nisko, śnać przypomniawszy, że o duchowieństwie polskim lekko mówił i mało je ważył.

– Ksiądz Janik, ciągnął dalej młody, ledwie o mnie słyszał, drudzy téż nie więcej, bo przez ojca oddany byłem na naukę do klasztorów i na dwory niemieckie, a dopiero co do domu wróciłem i mało kogo na oczy widziałem, przy matce siedząc. Dzisiaj zaś tu prawie cudem się znalazłem, bom trzy dni temu na łowy ze psy, niebardzo świadom okolicy, wyjechał, po lasach błądząc ledwom z głodu nie zdechł, a żeby nie ubite koźle i ja i psy możebyśmy w puszczach byli zostali.

To mówiąc Jaksą śmiał się sam z siebie.

– No to – rzekł mnich – teraz się wam najlepsza nadarza

zręczność, gdyście już tak Wrocławia blisko, abyście ks. Janika, powinowatego waszego odwiedzili i pana Petrka, który też wam jak biskupowi krewnym być musi, poznali, jeżeli i jego nie znacie.

– Wcale go nie znam, – odparł Jaksza – a no, prawdę rzec i poznawać się go nie spieszę, takie o nim dziwne prawią ludzie.

– Ludzkie języki kłamliwe i niepocziwe są – podchwycił ksiądz żywo. – Toć pan świętobliwy, rozumny, potężny, który z książęty na równi stać może, ale psy na księżyc nawet szczekają.

Stary Żegota dodał.

– Od niego jadę, znam go dobrze, coś też powiedzieć potrafię o nim. Młodemu, gdy do niego przystęp mieć może, zdala się trzymać byłoby złém i szkodliwém, bo przy nim urosnąć można łatwo, a bez niego w tych krajach ciężko co zrobić. Szanuje go i kocha książę Władysław i drudzy panowie książęta, którym przez nieboszczyka Krzywoustą wyznaczony został za opiekuna. Można jest, silny jest, rozumny jest.

– Potężny jest, – dodał mnich – a złota ma tyle, ile go żaden z książąt naszych nie ukaże.

– I nieprzyjacioły też ma, – dokończył Zaprzaniec – bo kto mocen, bogaty, silny, wielki, ten ich musi mieć.

Po chwili głos niższy, mruknął.

– Z nieprzyjaciół jego najstraszniejszą ... jest – niewiasta. –

—
Na samo wspomnienie imienia niewieściego, mnich rękę podniósł do góry i głowę przechyliwszy minę uczynił taką,

jakoby nie wiedział sam czy miał bronić czy potępiać.

Wzdrygnął się w końcu.

– Wspomnieliście – rzekł – owo stworzenie, które Bóg na świat wyprowadził z kości pierwszego człowieka, na zgubę ludzi, na pokusę, na narzędzie dla szatana. Prawda, bez niewiasty nie byłoby świata i nas, ale też przez nią świat i my przepadamy. Niewiedząc czy ją słać, czy przeklinać – zmilczę!

Tymczasem przemilczawszy przez poszanowanie dla duchownego, Zaprzaniec kończył.

– Tak jest, iż ma jednego a najstraszniejszego nieprzyjaciela w niewieście, i nie w inną jako w możną i przebiegłą pani żonie ks. Władysławowej, Agnieszce, Niemce. Z tych Niemek u nas wszystko złe szło i idzie.

– Przecz że go nienawidzi? – zapytał Jaksza.

– Łacno to dojść – odparł stary. – Gdy król nieboszczyk Krzywousty umierał, radzili mu biskupi, i wymogli na nim, aby państwo swe na równi między synów podzielił.

Jeden tylko Kazimierz został, któremu nie dano nic, Bogu go polecając. Nie sądzę ja pany nasze biskupy, ale bodaj podział ten dla nich bezpieczniejszym był, przeto go chcieli. Z jednym a potężnym panem twardo im szło, a tak każdy książę ma przy sobie biskupa, z którym władzę dzieli i każdy biskup jednego pana pilnuje. Tém łacniej rządy swe duchowne sprawować mogą.

Jaka była wola króla i biskupów, tak się i stało. Kraje się podzieliły. Na Krakowie zwierzchnim siadł ks. Władysław, i wziął Szlązko dodatku. Bracia poszli na dzielnice z

posłuszeństwem głowie. Cesarskiej krwi pani Agnieszce nie chciało się być i nie chce księżną, a żąda być królową. Więc dobrego pana a małżonka swego pędzi i zmusza, aby braci powyganiał, zwojował i sam jeden nad wszystkimi dzielnicami panował.

Tego i biskupi nie chcą, i pan Petrek pilnuje, aby się to nie stało, ale żeby się spełniała wola nieboszczyka króla. Więc ztąd do Petrka nienawiść wielkiej pani i niemieckiego jej dworu.

– A nic mu nie uczynią – gorąco wtrącił mnich – ma nas wszystkich po sobie ile jest, biskupi z nim, Pan Bóg z nim! Widzieliście przecie albo słyszeli, gdy niedawno dla opactwa naszego do kościoła św. Wincentego relikwii z Magdeburga zażądał, których i książętom odmawiają, bo ich żadnymi skarby opłacić nie można. Jemu arcybiskup świętych nie odmówił kości i widzieliśmy, jak je do kościoła w tryumfie prowadzono, gdyby zdobył największą. A ktoby tego dokazał, żeby się z nim świętością, co opiekę niebios zapewnia, dzieleno? Kto? chyba jeden pan Petrek. Na co patrząc i znając go niech pani Agnieszka w Krakowie pamięta, że jeśli się porwie na człowieka, który świętych Pańskich i duchownych ma za sobą, rychlej ona sama padnie, niż się on zachwieje.

Mówił O. Maur z gorącością wielką, a drudzy milczeli.

– Prawdą jest – potwierdził Zaprzaniec, – że panu Petrkowi nikt tu nie straszny, bo i powagę ma wielką i rozum i bogactwa.

A co nań prawią nieprzyjaciele, że zdradą do mocy tej przyszedł, złością jest, boć co mu w sumieniu ciążyło dawno

odpokutował.

– Duchowni wszyscy z nim, nasi opaci i starszyzna – dodał Maur – nietylko w opactwie św. Wincentego, lecz wszędzie gdziekolwiek są. A są po świecie całym i jak ona drabina Jakubowa nieba, my tronu biskupa rzymskiego dotykamy! Wszyscy modlemy się za dobroczyńcę, msze zań odprawiamy, a grzech, gdyby go miał, dawno zmyty jest ofiarami ołtarza, zarzucony temi kamieniami, których tyle na kościoły ponawoził, starty złotem, którym je przyozdobił... Rzeczono bowiem, że co my rozwiążemy rozwiązane jest, a co zwiążemy na wieki związane.

Napił się O. Maur miodu, bo się mówiąc zmęczył, otarł pot kroplisty z szerokiego czoła i ciągnął dalej, błyszczącymi oczyma wpatrując się w Jaknę.

– Już i dlatego warto poznać dom pana Petrka, że nigdzie nie zobaczycie ani macierzy takiej powagi, jak księżna żona Petrkowa, ani córki takiej piękności, jak ona Beatryks, którą tu zwą Błogosławą, rajski kwiat! Ani anioły boże piękniejsze nie są, ani czystsze – dodał mnich ręce składając. – Gdy do kościoła wnijdzie, modlić się chce do niej nie do ołtarza!

– Gorąco to mówicie – przerwał Zaprzaniec. – Jam stary i już dla mnie niewiasty uroku takiego nie mają. Napatrzyłem się ich też po ziemiach różnych, szczególnie w Italii i Rzymie, gdzie, póki młode najpiękniejsze są, a po krótkim czasie straszne się stają.

– Tak, że i szatan nad nie ohydniejszym być nie może! –

dokończył mnich ze śmiechem.

– Muszę to przyznać – rzekł Zaprzaniec – żem nad córkę Petrkową Błogosławę, nigdzie ani piękniejszej ani podobnej nawet nie widział.

Piękna jest inną pięknością, której południowe kraje nie znają, tamtych niewiasty z płomienia zdają się ulepione, te z powietrza i mgły czystej.

– Jédźże młodzieńcze – zawołał mnich rubasznie – jedź, abys choć raz w życiu to oblicze mógł oglądać. Szczęście to jest popatrzeć na nią.

– Jedź – potwierdził Zaprzaniec – dwór tam gościnny, a powinowatego przyjmą serdecznie. Cóż gdy cię biskup wprowadzi? Wszak żony nie masz??

Rozśmiał się Jaksa swobodnie.

– Ani myślę tak rychło gniazda słać – odpowiedział – wojuję, lubię wędrowki, a niewiasta do domu zawczasu przykuwa. Jechać zaś teraz – dodał – na dwór p. Petrka, nie przystało mi bom oto sam, jak palec, z dwojgiem psów tylko, bez odzieży, bez łańcucha, bez dworu, a tak mi się stawić, dla pamięci ojca nie godzi.

Gdy zamilkli na chwilę, O. Maur przeciągnął się i ziewnął szeroko.

– Hę! hę! noc bo już jest, a nocą się włóczyć nie dobra rzecz, legnę tu chyba spać. Gorzej jak w mojej celi nie będzie, bo tam nasz opat na gołych deskach spać każe i nocą mu się na dzwonek co godziny do chóru zrywać potrzeba.

– Ha! na toście się święcili! – odparł Zaprzaniec.

– Ja? ja? – zawołał O. Maur ruszając ramionami. – Ani mi to było w głowie! Rodzice mnie w leciech dwunastu oddali Benedyktynom, musiałem iść, bo oni tak ślubowali nimem się urodził, że mnie panu Bogu na ręce synów ojca Benedykta oddadzą! Ochoty do kaptura anim miał, anim nabrał. Na koniu bym wołał hasać i wesołą żonkę mieć, niż to życie nędzne prowadzić!

– Nędzy przecie i biedy na was nie widać! – rzekł Zaprzaniec.

– Boć sobie rady dać umiemy – rozśmiał się O. Maur. – O ha! Rozległe mamy włości, zajrzeć tu i ówdzie potrzeba, to się jeździ, a w drodze zapomina się i klauzury i różnych srogich reguł zakonu. Pan Bóg łaskaw przebaczy!

I ogromną pięścią w piersi się buchnął.

Nie musiał się tak bardzo mowie mnicha zdziwić Zaprzaniec, bo widział i wiedział, co się po całym świecie w klasztorach benedyktyńskich działo, że je papieże i biskupi oczyszczać wciąż i poprawiać musieli, a do dawniej ich reguły doprowadzić nie mogli, więc tam u nich pono o łowach, napoju, jadłach i wesołych godzinach, niż o chórze i godzinkach myślano. Ojciec Maur właśnie do tych należał, co jarzmo potrzęsając i lekceważąc śluby, pracowali na to, aby ich z wrocławskiego opactwa wygnano, co też się wkrótce dokonało.

Po tej rozmowie szli wszyscy spać na siano do szopy.

Noc była chłodna, gwiazdzista i cicha. Jaks sam dłużej pozostał na podwórku z psami swemi myśląc bodaj o dworze

pana Petrka i o pięknej Błogosławie, którą mu tak zachwalono, że się w nim młodzieńcza rozbudziła ciekawość. Sam był i bez wszelkiego do odwiedzin przygotowania, ale czemu by też, myślał sobie, nie miał zdala najrzeć na to cudo, nie dając się poznać? nikomu się nie opowiadając kto był?

Nęciła go bliskość miasta, odstręczało to, że do zmyślenia cudzej postaci nie miał ochoty ni zdolności. Tak podumawszy sam, niewiedząc co jutro pocznie, po niejakiem czasie rzucił się też na posłanie nieopodal od konia swego, a psy wierne do nóg jego przyległy. I cisza nastała w gospodzie, lesie, na świecie, tylko puhacz gdzieś zdala coś wróżył odzywając się posepnie.

III

Ranek jesienny trochę mglisty obiecywał piękną pogodę, biała rosa perlista okrywała trawy i drzewa, z za mgły wychylało się słońce jakby snem nocnym rozmarzone jeszcze, jak na wpół przebudzone. Niekiedy okiem jaśniejszym spojrzało na świat i osłaniało się wpół przejrzystymi obłoczkami, zdając wstawać leniwo. Na gościńcu do Wrocławia prowadzącym, już się poruszało od świtu życiem dwojakim miasta i wsi, kupieckiem i gospodarskiem, wędrownem i domowém.

Już też i w izbie u Mikuła ludno było, w ognisku ogień płonął, a że dym z niego nie rażno odchodził dymnikiem, po izbie się powłóczył i oczy wygryzał. Jedni pili u stołu, drudzy zziębłe ręce u ognia zagrzewali, spoglądając na siebie, bo byli ludzie wszelacy, tutejsi i obcy. Większa ich część noc spędziła na łąkach i chłód ich na legowisku objął jesienny. Znać to było z zarumienionych twarzy, z żywych ruchów, któremi rozgrzewać się chcieli. Z noclegujących pod szopą, pierwszy co się ze snu po cichu zerwał i wozowi kazał gotować do drogi, był tłusty mnich, który po wczorajszej zbytniej wesołości swój, ponuro teraz i kwaśno wyglądał. Lękał się może Opata, dla spóźnionego powrotu. Nie żegnając więc nawet swych towarzyszków, starego Zaprzańca i młodego Jaksy, na wóz się wdrapał i ku miastu poganiać kazał, w drodze głośno odmawiając pacierze zaległe, bo choć się zdał nie bardzo pobożnym i język mu czasem świerzbiał, bezbożnikiem

nie był, po swojemu pana Boga chwalać i przed nim się korząc.

Zaprzaniec za nim ruszył się drugi, a wprędce potem zerwał się Jaksa, który sen miał niespokojny, sam nie wiedząc jeszcze co z sobą uczyni. I Wrocławia mu się chciało i od domu a matki się odbiwszy, radby był dla niej co rychlój powrócić.

Stary go przywitawszy, głośno modlitwy rozpoczął, a tuż i pacholek jego przybył, co mu do lepszego odziewania się pomagał.

Tymczasem Jaksa przed gospodę wyszedłszy, poglądał na gościniec, tam i sam, ważąc jeszcze co lepij, nawracać do domu, czy zajeżdżać do miasta?

Jeszcze tak dumał, gdy stary Żegota już sobie napojonego konia podawać kazał, a mając go dosiadać zawrócił się ku młodemu.

– Zdrowi bywajcie – rzekł, a trafi się wam podle Krakowa droga, to mnie też pustelnika na skale mej nawiedźcie, rad ludzi widzę u siebie.

Dziękował Jaksa.

– A wam kędy droga? zapytał Zaprzaniec.

– Sam ci jej nie wiem jeszcze – rzekł Jaksa, ważę się, na łowym się tylko wybrał, a podróż musiałem zrobić.

Stary zważywszy może iż się nie chciał z tem wydać co pocznie, nie pytał już więcj, na konia siadł, ręką pozdrowił i ruszył; a, choć siedem dziesiątków lat miał na sobie, mnogie boje i blizny, jechał jeszcze tak krzepko, rażno, jakby zawsze młodym był. Patrzał za nim Jaksa długo, aż mu zawróciwszy na leśnej

drodze, z oczu zniknął.

Słońce wybijało się z za obłoków, czas i jemu było ruszać, konia też chłopcu kazał podawać, na psy, które pokarmiono, świsnął i dał koniowi rozstrzygać o tém (przeżegnawszy się) gdzie ma jechać dalej.

Zdało mu się to bezpieczniejszém niż rozum własny, który uczył dobrze czego nie trzeba było robić, ale co robić, nie wiedział.

Koń prychnąwszy, dla tego może iż w tę stronę więcej wozów i ludzi ciągnęło – zawrócił ku Wrocławowi.

Jaksa prawie rad był, ale w duchu sobie powiedział, że w mieście ino popasie, rozpatrzy się maluczko i do domu nawróci.

– Gdyby jakim szczęściem dało się zobaczyć ową Błogosławę, mówił jadąc – dobrzeć by to było, ale gdzież i jak się to trafić może?

Tego się cale nie spodziewał, po młodemu tylko o dziewczęciu marząc. – Ludzka rzecz.

Miał też powód szukać sobie i napatrywać żony, choć jej niby nie chciał i wypierał się wczoraj. – Miał Marek Jaksa jedną tylko panią macierz starą, która jedynaka swego miłowała jak oko w głowie, a ciągle modliła i prosiła go ażeby się, jeżeli nie dla siebie, to dla niej zenił. —

– Dla mnie starej, mówiła mu, pociecha by była z synowej i wnucząt, choć do kogo zagadać, choć się z kim popieścić. Ty zawsze kędyś w drodze, ja sama, a uchowaj Boże nieszczęścia na ciebie, mnie też nie żyć, bo niemam dla kogo.

Dla téj miłej macierzy radby się był ożenił już Jaksa, pewnie więcej niż dla siebie, bo trudny jakoś był i największa piękność mu nie smakowała, gdy obyczaj miała prosty. Czegoś pragnął więcej niż umiał powiedzieć – wysoko patrzył. Więc owa Petrkowa córka, zachwalona tak, w głowie mu utkwiła. Choć tam może starali się możniejsi a dumny Petrek za zięcia książątko by chciał mieć, i panu Jaksie nie było co zarzucić ani z rodu ani z mienia. Ich téż pono dawniej kneziami zwano, a z owych czasów włości a ziemi zostało im podostatkiem. Tak myśląc jechał powoli Jaksa, a psy, po zaroślach się zwijając, wietrzyły, bo rosa im pomagała. Szlak ludny był, wozy na targ nim sunęły, ludzie szli, bydło gnano. Już też zdala i gród poczynało być widać, i wieżę nad nim krągłą, gdy od strony miasta ukazał się orszak pański. Zdala trudno go było dobrze rozeznąć, pył się za nim i przed nim niósł i tumanami go zakrywał. Dopiero nieco się przybliżywszy dojrzał Jaksa przodem jadącego, męża poważnego w sukniach długich ciemnych, z brodą siwiejącą postrzyżoną, bez broni żadnej u pasa ni u kolana, za którym dwu czeladzi przystojnie odzianej wiozło łuki, kołczany i oszczepy. Siedział na koniu dzielnym, kapą okrytym, a nikt się z nim na równi nie ważył stać i z tyłu reszta kroczyła, konie hamując niecierpliwe. Oczyma mąż ten rzucał do koła, jakby się tu panem czuł, w kraju na który patrzył. – Przyglądając mu się lepiej Jaksa, na sukni dostrzegł u piersi krzyż złocisty na łańcuchu, i po nim, więcej się domyślił niż poznał powinowatego, którego od dziecka nie widział, Biskupa Janika Gryfa z Brzeźnicy, który

choć duchowny, łowy, konie i zabawy rycerskie nad miarę lubił. Pomawiano go nawet o to, że więcej był rycerzem niż pasterzem, o co on mało dbał, bo swój obowiązek pełnił pilnie. Duchownych diecezyi swój po żołniersku trzymał, a gdy wizyty kościelne odbywał, zwykł był nie inaczej się w drogę wybierać jak z końmi, psy i ptaki, aby czasu nie tracić, kapelan za nim jadący, modlitwy głośno czytywał. Biskup je po cichu powtarzał, że psów nie spuszczać oczu. Taką już słabość miał, za którą pana Boga przeproszał, zwyciężyć jej nie mogąc. Psy biskupie gromadą wielką, po polach się właśnie rozbiegły, a że Jaksowe też tam były, padły na się sobaki warcząc i do gryzienia się zabierając. Zwróciło to uwagę ks. Janika, a gdy postrzegł że obce psy duże i piękne były, nie domowego porodu, i ich i pana szukać zaczął oczyma po gościńcu. Tymczasem psiarze z batami rozganiali warczących.

Jaksa, który się bokiem gościńca brał, mimo to natknął się na orszak biskupi. Spojrzał nań ks. Janik wcale nie poznając.

– Wasze to psy? zagadnął jadącego, który go niskim uczcił pokłonem.

– Moje!

– Cóż to tak z niemi po cudzych polach hasacie? zapytał biskup.

– Nie zajechałem tu po dobrej woli, odezwał się Jaksa, i nie na łowy, ałem się srodze obłąkał.

Staął Biskup i na psy, które przybiegły, chciwie patrzył.

– Zkąd te psy macie? zagadnął, u kogo służycie?

– Nie służę nikomu, rzekł Jaksa, którego suknie powszednie za pospolitego człowieka podawały. Psy z sobą z Niemiec aż z nad Renu wywiózłem.

Biskup więcej na psy patrzył niż na człowieka.

– Dobrze są? zapytał.

Chciał go już wymijać Jaksa, gdy się ku niemu zawrócił – i krzyknął.

– Sam tu! do mnie! kto wy jesteście? Psy bym wasze do mojej psiarni rad mieć.

Cieężko się już było Jaksie panu stryjecznemu wyklamywać, zdjął więc czapkę i zbliżył się.

– Daruj mi, miłość wasza, że w tej sukni przed nim stoję, alem się zbłąkał, a nie śmiałem przed nim się tak stawić, wypadkiem się tu znalazłszy.

– Jestem Marek Jaksa z Miechowa. Biskup cugle puściwszy ręce podniósł.

– A niepocziwy! zawołał – i mijałeś mnie tak, nie dawszy się znać?? Pogroził mu.

– A toż godziwo, ciągnął dalej, że do domu powróciwszy, dotąd do mnie po błogosławieństwo nie szedłeś? A któż ci dziś bliższy nademnie?

Jaksa z konia zląwszy, stał przed nim jak winowajca.

– Nie wińcie mnie, rzekł Biskupa w rękę całując. Macierz tęskliwa trzymała mnie z dnia na dzień, nie odpuszczając od siebie. Dni temu cztery, nieszczęście chciało, nieopatrznie się wybrałem na łowy i takem brzydko się w puszczach obłąkał,

żem w nich o mało z głodu nie zmarł. Wczoraj pod noc dopiero znużony dobiłem się do tego gościńca.

Biskup Janik głową potrząsał jakby nie dowierzał, wciąż pono więcej na psy patrząc niż na bratanka. A te się też przy swym panu ochoczo i wesoło zwijały.

– Hej, psy, prawdziwe molossy! szeptał cicho i podniósłszy głowę zawołał.

– Dokądże teraz?

– Będąc już pod miastem zachciałem je choć zobaczyć, albo co dla drogi kupić, aby znów głodem się nie morzyć. Do Waszej miłości w tej odzieży jechać nie śmiałem.

Biskup nań uśmiechając się patrzył i głową kręcił.

– Jedźże dalej, rzekł, jedź z Bogiem, ale mi ty tak nie ujdiesz. Zawrócił się ku swoim i skinął na starego człeka, który podbiegł na koniu.

– Słuchaj Drygas – oto ci wziętego jeńca na ręce daję, żebyś mi go strzegł i zbiedz mu nie dał. Krok w krok za nim, ugość go u mnie we dworze, bo to bratanek mój, krew moja! Słyszysz? Ja też niezabawem powrócę, ino się ze psy przejadę trochę – żebyś tam na mnie czekał!

I pogroził łagodnie Jaksie, który Biskupa w rękę pocałowawszy z drogi mu z koniem ustąpił i przypatrzwszy się nieco przeciągającemu orszakowi, zabierał się ruszyć do miasta.

Stał przy nim już, ówznaczony mu do dozoru Drygas, stary człek z postrzyżoną głową, dobrodusznego wyrazu twarzy, znać myśliwy, jak niemal wszyscy biskupa domownicy, bo się tęskno

za psami oglądał.

Uśmiechnął mu się Jaksa.

– Nie w smak ci stary, rzekł, ze mną nawracać do domu, alem ja nie winien temu, tylko pan wasz. Jedźmyż!

Jechali tedy, w trop za nim Drygas coraz się oglądając, aż i miasto się wyraźniej z za wałów sypanych, ostrokołów i tynów ukazywać już zaczynało. Gdzieniedzie ponad te wały wyglądała wieżyca gruba, niekształtna z oknami ciasnymi i małymi. Za wałami gromadą stały domostwa drewniane, z dachy słomianymi i dranicowymi. Po nad chaty i dwory gród się tylko nieco podnosił, a w drugiej stronie, u góry Sobótki, domyślał się już sam Jaksa, w znacznych zabudowaniach, dworca pana Petrka i przy nim Opactwa, bo po nad nim krzyż na dzwonnicy widać było i kawał muru tam szarzał, czerwienił się i bielił. We wrotach miejskich ścisk był wielki dla dnia targowego, gdzie właśnie myto brano, ludziom z wozów chwytając to drzewo, to inną kupią zamiast pieniędzy. Z tego rósł tu swar i wrzawa. Miejscy stróże z oszczepami u bram dokazywali, opierających się obuchami tłukąc. Ci sługę Biskupiego poznawszy, obu podróżnych przepuścili z pokłonem.

Właśnie gdy mimo Sobótki przeciągać mieli, dzwonek się nad kościółkiem począł odzywać. Zwrócił się Jaksa do sługi.

– Radbym mszy posłuchał, rzekł, weźcie na sznur psy moje, bo gotowe za mną i tam, a co po psie w kościele? Nie zabawię długo, a na biskupi dwór i sam trafię...

Drygas głową jakoś pokręcił.

– Pozwoli mi, miłość wasza, abym rozkaz mojego pana spełnił jak należy. Postoję ze psy u proga. Właśnie do parkanu opasującego cmentarz i kościół podjeżdżali, tu Drygas psy na sznur wziął, a Jaksa przez wrotka do bocznych drzwi kościelnych iść zaczął.

Naprzeciw tych wrót cmentarza któremi wszedł, była w kawałku muru furta stojna, wiodąca w stronę dworca pana Petrka, pokryta kamieniem i zakończona daszkiem. W chwili gdy Jaksa jednemi wroty wchodził, otworzyły się i drugie, a przez nie wyszły dwie niewiasty i za nimi poduszki niosąca służebna. Strzymał się tedy Jaksa i ukryć chciał dopóki by nie przeszły, bo do tychże drzwi kościelnych zmierzały – ale skryć się nie było gdzie, tylko że do muru przyległ patrząc ciekawie.

Z dwu niewiast pierwsza poważna, niezbyt już młoda, szła tak jakby po swej ziemi, pańsko, dumnie, wolno, ledwie że na świat spoglądając, myślami pewnie będąc gdzieindziej, bo i tam gdzie patrzała nic się widzieć nie zdawała. Piękna jój twarz, choć na niéj lata kilka już marszczek zarysowały, jaśniała jeszcze ową niezgasłą pięknością córek północy, które się tak zdają przychodzić na świat z marmuru kute, aby ich czas nie spożył. Wypełniło się tylko jój oblicze, i stało z pięknego majestatyczném a resztką młodości jeszcze w niém przeglądała. Na głowie, na włosach jasnych, które mało co widoczne były, miała złotogłowy czepiec, na nim zasłonę białą. Na sukni ciemnéj, obcisłej, długiej, bramowanej, płaszcz lekki podbity szkarłatem, narzucony był na ramiona. Obie ręce białe, złożone

na piersiach, osłaniały wywinięte rękawki. Na szyi łańcuch się okręcał, u pasa torebka wisiała pozłocista. Suknie się tak jakoś na nią składały posłusznie do jej postaci i ruchu, że wszystko poważném było, jak twarz, czoło i wejrzenie zadumane. Idące za nią dziewczę młodziuchne, z rysów oblicza poznać łatwo było jako jej dziecię. Też same jasne twarzyczkę okalały włosy, w splecionych kosach długo spadając na ramiona, ze wstęgami i łańcuszkami, które się w nie wplatały. I twarz do matki miała podobną, białą jak śnieg z modremi oczyma, tylko od niej piękniejszą daleko, nie samą młodością ledwie rozkwitającą, ale czystością rysów życiem, smutkiem, łzami niepokalanych. – Było to szczęśliwe dziecię macierzyńskich pieszczot, nie oderwane jeszcze od matczynego łona, nie żyjące sobie, ale w matce i dla niej. Ubiór miała jaśniejszy i lżejszy, a kolce, łańcuch, pierścienie i ozdoby, zdały się jakby umyślnie dla niej zrobione z pajęczyn złotych, ze srebrnych nici. Coś dziecinnie wesołego patrzyło z oczu jej spokojnych, a gdy matka zdawała się nie widzieć nic, bo już wszystko przepatrzyła na świecie, ona się ciekawie przyglądała najmniejszej rzeczy.

Jednego ptaszka, muszki, listka drżącego na gałęzi nie minęła nie uśmiechnawszy mu się jak dobremu znajomemu i przyjacielowi. Zwracała ku nim główkę powoli, zdając się chcieć zgadywać te sztuczne kształty, w które koło niej przyodzięwało się życie. Tak samo jak na przelatujące wróble, poczęła patrzeć na stojącego u wrót Jakse, po dziecinnemu, ciekawie, śmiało. Lecz, gdy się z jego oczyma spotkała, twarzyczka się jej

zarumieniała, zmarszczyła brew i odwróciła wejrzenie. Jaksa niepozornie wyglądał a nadto patrzył śmiało, pogniewało ją to może. Prosty był człek a tak zuchwały! Spojrzała raz drugi ukradkiem, patrzył jeszcze i odwróciła się znowu. – Wtém matka weszła w ciemne drzwi kościelne i znikły w nich obie.

Jaksa stał jeszcze chwilę, jakby nie śmiał się ruszyć, nie chciał spotkać, dał im wniść i służebnej, która go téż oczyma mierzyła szczerze pogardliwými; potem i on zwolna posunął się ku kościółkowi.

Właśnie do bocznej kaplicy, przed Chrystusów krzyż wychodziła msza święta. Z zakrystyi poważnym krokiem sunął mężczyzna urodziwy, postawy wspaniałej, w sukniach uroczystych od złota i jedwabiu lśniących. U ołtarza klęczały już matka z córką na podrzuconych im poduszkach. Jaksa z boku stanął i pobożnie począł się modlić.

Nie wielki ale wspaniały był ów benedyktyński kościółek, znać w nim było rękę pobożnego fundatora, a gdzie sztuce ówczesnej brakło mistrzostwa, zastępowało je złoto. Lśniło się niem wszędzie. Na złotych tłach stały malowane obrazy, w złoto poprzyodziwane były ołtarze, złotem dzierzgane suknie. Ledwie że go na podłogę nie rzucono, a na stropie gwiazdami jaśniało i pręgami się świeciło.

Z kamienia też ciosane posagi, na owe czasy osobliwa rzecz, – obficie kościół zaludniały, a choć chude i sztywne, coś już w sobie życia i coś myśli zawierały. Modliły się wszystkie lub bolały – a boleść jest też modlitwą.

Język sztuki zaprawdę cudownym jest i sił jakichś nadziemskich pełnym. Dla młodych ludów starczy ledwie skazówka jego, aby z niej żywa ich wyobraźnia wysnuła obraz żywota. To też, to co dziś u nas wstręt by i politowanie obudzało – nosiło duszę i myśl w inny świat dźwigało. Rośnie kunszt z ludźmi razem jak ich mowa, z potrzebami i duchem rozpościerającym się coraz szerzej. To co do zepsutych ludzi się wdzięczy i pięknnością ich zdumiewa, dla wpółdzikich, surowych mdłym by było i niezrozumiałém.

Ztąd ta krasa barw w pierwszych wiekach, ztąd kolorów wrzawa i posągów lub jakaś martwota sztuczna swą siłą niepożyta, albo dzikie a dobitne ruchy. Jaksa patrzył na świętych z kamienia, ale więcej jeszcze na posąg ten żywy, na to dziewczę którego zdaleka kibić tylko zręczną, z pod długiej mógł dojrzeć zasłony, giętką jak trzcina którą wiatr ugina.

Nią tak ugiwała modlitwa.

Ani czuł ani wiedział Jaksa, gdy się skończyło nabożeństwo i ksiądz dawszy do pocałowania pacyfikał niewiastom, tym samym krokiem poważnym, z twarzą rozpromienioną z jaką szedł do ołtarza, powrócił do zakrystyi.

Młodzieniec stał zadumany u drzwi, gdy poczuł że go ktoś zlekka za suknię pociąga i odwróciwszy się ujrzał O. Maura, który z chóru go zobaczywszy, przybył powitać. Właśnie niewiasty wstały były i mimo nich przechodziły, więc Jaksa wpatrzony w nie ciekawie, ledwie wesołego mnicha mógł pozdrowić. Prześliznęły się przed niemi jak cienie. Starsza

skinęła głową Ojcu Maurowi, który ręce na piersiach złożywszy, pokorny pokłon jęj oddał.

– A cóż? odezwał się cicho gdy wyszły, nie mówiłemże wam, iż do tęj cudnej Beatryksy modlić by się można??

– Któż ona jest! zapytał roztargniony Jaksa.

– A któżby to mógł być, jeśli nie Pani Petrkowa z córką? – z tą gwiazdą jakiej równa nie świeci żadnej ziemi, z tą perłą godną cesarskiej korony?

Jaksa zmilczał, O. Maur ciągle się uśmiechał.

Widzę żeście od widoku jęj osłupieli – dodał – ani dziw! gdy we mnie starym klocu dusza się na widok jęj śmieje, cóż dopiero w młodym, w którym soki żywe płyną? Nie jestli to niewiasta najpiękniejsza w świecie? Najprzewielebniejszy Opat nasz ojciec Anzelmus, którego mszy słuchaliście, jest tęj pani duchownym doradcą, a córki nauczycielem. Szczęśliwy człek gości tam we dworze codzień, bo i p. Petrkowi za to jest miły że mu niewiasty zabawia. Wonią tęj lilii zaledwo rozkwitającęj i tęj róży w pełnym kwiecie napawa się nasz najprzewielebniejszy do syta! Najmilszeć to jego owieczki, które i na chwałę Bożą strzydz się dają, bo jęjmość hojną jest na domy nasze!

O. Maur rozgadywał się tak żywo, gdy Jaksa wcale do rozmowy nie zdawał się okazywać ochoty. Pożegnać już miał księdza, gdy ten przeprowadził go za drzwi kościelne.

– Widzę że was do miasta wzięła pokusa, rzekł, jam to przewidywał!

– Nie po dobrej woli tu przybyłem – odparł z uśmiechem

młody, w polu spotkałem ks. Biskupa Janika, i nie mogłem go wyminąć bez pokłonu. Poznał mnie i przykazał jechać na swój dwór, bo sam wyruszył nieco na łowy. – Ot, jakem się tu znalazł...

– A! a! rzekł O. Maur z przekąsem i głową trzęsąc – pewnie gdybym ja był biskupem, wołałbym też konno w pole ruszyć, niż w celi siedzieć zamkniętym! Ma rozum ks. Pasterz, wybiera co lepsze! Nasze życie utrapione! westchnął – a Opat coście go przy mszy widzieli, zda się zdala człek miły i gładki, tymczasem zbliżka żelazny, kamienny dla nas. Przypóźniłem mu się wczoraj do klauzury, dziś mi drewka do kuchni nosić kazano.

Skrzywił się i strząsnął gadatliwy mnich.

– Szczęściem O. Anzelm pójdzie zaraz sam do pani Petrkowej, bo to jego codzienna peregrynacja – a za mnie drwa braciszek przyniesie! Rozśmiał się, Jaksa śpieszył go pożegnać, bo już stali u wrót cmentarza, za które O. Maur spojrzał z tęsknicą za swobodą i wolnym krokiem do opactwa pociągnął.

Jaksa z towarzyszem ruszył do dworu biskupiego.

Ludzie naówczas mniej potrzeb i wymagań mieli, lecz zwierzchnicy stojący u góry musieli dla wrażenia posłuszeństwa, dla powagi otaczać się blaskiem i przepychem. A że Biskup stał na równi z książętą, jeśli często nie wyżej nad nich, musiał im nie ustępować zewnętrzną okazałością. Dwór też biskupi, jak panującego liczny był, wielki i wspaniale się przedstawiał. Znaczne z dóbr nadanych, sądów i kościołów dochody dozwalały Prałatom życie prowadzić wystawne. Trzymał z nich każdy

żołnierzy swych, pachołków, dowódcę straży, miał Marszałka, kanclerza, kapelana, świeckie rycerskie i duchowne sługi a urzędniki.

W początkach zwłaszcza, gdy władza metropolitalna ustalona nie była, a każdy biskup u siebie gospodarzył, wprost się znosząc i zależąc tylko od Rzymu, pasterze niezawisli, każdy po swój myśli, wedle swych usposobień, po dyecezyach się zarządzili. Całe duchowieństwo swe mieli na rozkazy, sąd własny, więzienia, na nieposłusznych kary, a kogo obrzucili interdyktem lub klątwą, ten i po śmierci w grobie, jak Cesarz Henryk IV, nie miał spoczynku.

Ówczesny dworzec biskupi we Wrocławiu nie ustępował książęcom tak był rozległy i ludny. – Roilo się tu ludem różnym, a że duchowieństwo przeważnie z cudzoziemców się składało, nawet u ks. Janika było ich pełno.

Polak naówczas na stolicę biskupią nie łącno się mógł dostać, a jeśli na nią wszedł, musiał, jak ks. Janik dzielić na wpół władzę z dodanym mu Archidyakonem, który obcym był. Włosi, Francuzi i Niemcy zapełniali klasztory, do których Polakom także przystęp był trudny. W wielu miejscach, jednego tylko trzymano tłumacza z konieczności, resztę mnichów z zagranicznych ściągając klasztorów. Niektóre przy zakładaniu wpisany miały warunek, że samych Niemców mieścić w sobie były powinny.

Okolo ks. Janika dwór był dwoisty, polski i obcy; ostatni, jak wszędzie, władzy sobie i znaczenia więcej przywłaszczał niż mu

należało. Zaledwie w podwórze pełne księży ze wsi przybyłych, żołnierzy i ludu wjechali, gdy już ks. Robert archidyakon, który tu biskupa zastępował, a właśnie strojny w komżę i biret przechodził, po drodze ręce do pocałowania nastawiając i odbierając pokłony – zobaczywszy Jakś, który mu czci tak pokorniej nie oddał, ku niemu się rzeżko zwrócił pytając, kto by był i czego tu żądał!

Nim on się zebrał na odpowiedź, przyskoczył Drygas z tłumaczeniem i ks. Archidyakon pozdrowiwszy uśmiechem przybyłego, pociągnął dalej.

Stary sługa biskupi postarał się zaraz o to, aby Markowi izbę wyznaczono i aby głodnym nie był. A że zwyczaju naówczas nie znano noszenia jadła po domu, musiał Jakśa znijsć do wielkiej izby na dole, która była rodzajem gospody i refektarza dla gości.

Wszystkich ich ks. Janik przyjmował po prostu, ale nikt ztąd, jak ze dworu książęcego głodnym nie odszedł.

W godzinie téj właśnie ogromna izba, na słupach oparta, którą trzy stoły przedzielały, otoczone ławami, pełna była ludu najrozmaitszego. Czeladź roznosiła misy, a stoły obsiadali pielgrzymi rozprawiając z sobą. Była ich dnia tego liczba znaczna. U stołu jednego karmili się żebracy i lud ubogi, u drugiego proboszcze i wikaryusze z dyecezyi, u trzeciego rycerstwo i ziemianie. Każdy z jakąś sprawą przybywał.

Księża prawie wszyscy zaskarżeni albo skarżący wyglądali ubogo, ledwie w nich duchownych poznać było można, tak suknie nosili różne. Znaczniejsza ich część konno przybywszy,

ostrog i u butów miała, i noże ukryte pod suknią zwierzchnią, które w przypadku napaści i do obrony służyć mogły... Duchowieństwo ówczesne w całej Europie, jak i u nas, nie było jeszcze tak ściśle związane ślubami, wielu z nich przybywali w sprawie rodzin swych, bo dotąd żonatych było wielu, a niektórzy zaskarżeni o bigamię, musieli się oczyszczać, albo za synami swymi prosić, aby ich od ołtarzy nie usuwano. Biskupi ściślej coraz zaczęli wglądać w życie prywatne świeckich duchownych.

Niemaló też z rycerstwa pozwanych było przed sądy duchowne, o różne przestępstwa główne. Każdy swoje opowiadał, narzekał i uniewinniać się starał. —

Nie wesoło tu było a nad miarę gwarno, bo się sobie obżalowali wzajem zwierzali. — Jakś wszedł na tę wrzawę, szukając sobie miejsca, a znajomej twarzy nie znajdując, w rogu stołu skromnie zasiadł na uboczu. Ziemianie go, jako niepozornie ubranego, poczęli mierzyć oczyma, że się ku nim zbliżył, i zdawali wejrzeniami chcieć odegnać, gdy nie młody człeczyna pomiędzy niemi siedzący, ciekawie mu się jął przypatrywać.

Była to postać, nawet w tym tłumie pełnym osobliwszych ludzi, uderzająca dziwotą. Niewiadomo było na pierwszy rzut oka, czy więcej go na szerokość czy na wysokość urosło, tak mały był a otyły. Twarz też miał ogromną, z oczyma maleńkimi, wargi wielkie, usta szerokie, brodę rzadką, a głowę niemal łysą. Opięto odziany zdawał się ledwo w sukni mieścić.

Spojrzał nań Jaksa i jakby się go domyślił czy poznał, patrząc nań, uśmiechu na ustach powstrzymać nie mógł. Gdy się tak mierzyli oczyma, ów rozrostły wszęź człek ręce rozstawił, za stół chwycił, podniósł się. Nie wiele go przez to przybyło. Drgnęła deska na której oparł ręce, zadźwięczały stojące na niej dzbany i kubki. Wnet dobywając się z miejsca swojego pośpieszył zdyszany do Jaksy, który na powitanie go powstał.

– Albo ty być musisz Jaksa z Miechowa, lub jam ślepy i głupi! zawołał okragły człek.

– Jam ci jest – ściskając go odezwał się wesoło młody – a stryj co tu poczynasz?

– Nic nie wiesz, rzekł odciągając na bok ku ławie stary. – Prawda żeś wędrował! Com miał czynić? Na konia już nie sięde dla brzucha, ledwie grzeszne to dźwigam ciało. Synom oddałem mienie, aby oni z niego księciu służyli, a sam bratu przybyłem marszałkować, jeść, pić i modlić się. – Z wielkiego żupana ot na com zszedł na starość, siedzę na łasce. Brzuch mnie zgubił. Rósł, rósł niepomiernie, napróżno go ściągałem, próżnom smarowałem czém radzono, i ot – co się ze mną zrobiło!

Spuścił smutne wejrzenie na swój pas, który na ostatnią dziurkę spięty, zdawał się chcieć pęknąć...

Jaksa mu do ucha powiedział swą przygodę i przybycie. Stary Żuła głową potrząsał słuchając.

– Dobrze że się mu pokłonisz – szepnął, pan jest mocny, ale swoim on nic nie pomoże, bo go obcy objadają.

– Ja téż nic od niego nie požadam – rzekł Jaksa.

– Tu ks. Robert archidyakon tyle waży albo i więcej co nasz Janik, mówił Żuła. Daje mu się bawić ze psy i po polach jeździć, a sam wszystko w ręce zagarnia. My tu u siebie w domu, gdyby goście, Biskupi, mnichy, Niemce, Włochy; książęta, ich żony, jakby nie swoi, wkrótce może Wojewodowie i Starostowie cudzy będą – a no – sza! chodź jeść, potem o tém. Misa paruje a wnet rozerwą z niej i nam kości zostaną. —

To mówiąc i ciągnąc za rękę bratanka, Żuła posunął się do stołu i zajął przy nim miejsce, starając się ugościć krewniaka, na którego wszystkie oczy były zwrócone. W sukni czarnej kleryk około gościnnych stołów gospodarzył, utrzymując przy nich porządek.

IV

Jaksa, który na krótki czas z domu dla łowów był wyruszył, pochwycony przez ks. Janika, który puszczać go od siebie nie chciał, siedział już dni kilka na biskupim dworze.

Pierwszego dnia zaraz konnego sługę wysłał Biskup do pani matki z oznajmieniem, iż się synowi nic nie stało, że go stryj u siebie ugaszcza, bo mu z serca jest rad. Przez posła tego Jaksa nakazał do domu aby ludzie jego, dwór i odzież przybyła, nie chcąc tu jak jakiś przybłęda wyglądać. Nim mu przywieziono co było potrzeba, prawie zamknięty w izbie siedział, bo i sam Biskup w odzieży, która jego stanowi nie przystała, ludziom go nie chciał okazywać. – Zabawiali się tak przy zamkniętych drzwiach sami z Żułą i Biskupem o łowach, psach i ptakach rozprawiając. Jaksa, który w obcych krajach wiele słyszał, widział i nauczył się rycerskich a łowieckich spraw, miał o czém obu stryjom rozpowiadać.

Biskup tak samo jak psy łowieckie, sokoły lubił i hodował, a najmilszém mu było gdy je oglądał i pieścił. Cała jedna izba ogromna pełna była białozorów, jastrzębi, orłów, i różnego ptactwa noszonego, aż do małych, a żwawych kobuzów. Nad nimi opiekę szczególną miał Zuła, bo dopóki nie był się tak roztył ogromnie, i on rad z ptaki jeździł. Owo zamięlowanie biskupa dziwném się nikomu naówczas nie wydawało, bo nie było między ziemiany i możniejszemi człowiekiem, któryby z

dzieciństwa się z łowiectwem nie zżył, tak że mu ono w nałóg i obyczaj poszło. Tęsknił każdy pod dachem, a częściej bodaj nocowano w lesie niż doma. Cały boży rok było na co polować, to na drapieżne stworzenia, to dla skóry, to dla mięsa. Dobry łowiec żywił swój dom dziczyzną; wędzona i solona w fasach stała wszędzie na powszedni chleb, a bieda tam była gdzie wołu zarzezać musiano na stół, bo pan łosia dostać nie umiał. Lasami okryty kraj cały karmił zwierza podostatkiem. Kto się z dziecka nauczył biegać po kniejach, choć go potem w suknię duchowną odziano, tęsknił do lasu. Tak i ks. Janik z Brzeźnicy, którego uczyniono Biskupem, dawny młodzieńczy obyczaj zachował.

Człek miłosierny i dobry, chociaż na oko surową miał postać, zdaniem ks. Roberta, utrzymującego, że w tym kraju i z tym ludem bez żelaznej różgi obejść się nie było podobna – za łagodnym był do rządzenia dyecezą. Surowością zastępował go ks. archidyakon.

Biskup milczał, czuł może nieudolność swoją, nie umiał ani zgromić, ni nastraszyć, ani ukarać ostro, żal mu zawsze było biednych ludzi, nakłaniał do poprawy, a przestępcom rad był zawsze przebaczyć, mówiąc że wszyscy są ułomni. Twarz tylko miał groźną a surową – ks. Robert ostrzejszy daleko, rozumny, że kraju nie lubił, bo rodem był Włoch, choć tu od młodości przebywał, pogan, jak ich zwał, rad nękał i mścił się za to na nich iż z niemi żyć musiał. Człek był zresztą uczony i prawy – ks. Janikowi swobodę dawano w domu i życiu, dyecezą więc więcej niż on rządził ten przybysz, a że biskup powolny był i

sam się odsądzał od spraw wielu, godzili się z sobą, wzajem sobie folgując. Samotności nie lubił pastérz. – Pomodliwszy się i obowiązki swe spełniwszy szukał ludzi, tęsknił za niemi, gdy ich nie miał.

Dlatego i otyłego Zułę chętnie do siebie wziął, aby go w chwilach samotności rozrywał, dlatego i młodego Jakse, powagą stryjowską rad był przytrzymać u siebie, – aby mieć z kim chwilę przepędzić, gdy pół dnia proboszczom z urzędu grozić i karcić ich musiał. – Kilka tak dni zabawiali się zamknięci, gdy wieczorem jednym, właśnie we trzech zasiadłszy, a o psach rozmawiając, posłyszeli hałas i ruch wielki w pierwszych izbach.

Ktoś się natarczywie wstępu domagał i jakby do niego prawo miał. A głos coraz podnosił. Biskup nakazawszy milczenie, posłuchał nieco, głową rzucił i żywo wstał z siedzenia.

– Nie kto mi się tam tak dobija, ino pan Petrek, – rzekł śmiejąc się – tego już potrzeba kazać wpuścić, bo drzwi potłucze i ludzi porozpędza, nienawykłym będąc, aby go od progu odprawiano.

Skinął na Zułę, który zaraz wybiegł, a Jaksie, który się chciał wycofać, kazał pozostać przy sobie.

– Pokłońże się i ty, możnemu Palatynowi naszemu – rzekł bijąc go po ramieniu. – Nie mały człek jest, przydać ci się może. Aniby się go minąć godziło gdy jesteś u mnie, żal by miał. Człek to równy z książętą, a od wielu z nich lepszy.

Ledwie słów tych domawiał, gdy żwawo miotając się wkroczył do izby człek niemłody, silnéj budowy, odziany tak żeby go z wejrzenia nikt, nietylko Palatynem ale Starostą na

małym gródku nie poznał. Buta tylko była rycerska, twarz czarna, ogorzała, rysy nie zbyt wdzięczne. Orli nos dużą część twarzy zajmował, resztę broda ciemna a rudawa pod światło. Na głowie włos mu się jeżył, i wzbierał nieposłuszny, porozrzucany a bujny.

Czoło miał już zorane marszczkami a chmurne.

Żelaznego w nim męża łatwo poznać było, nieulekłego, śmiałego, niedającego się niczém złamać. W oczach niepokój jakiś mieszkął, na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na świat wychodziła. Śmiał się też rzadko.

Czarna odzież, dobrze przeszarzana okrywała go, mieczyk niepoczesny miał u boku, czapkę prostą w rękę.

Szedł ku biskupowi jak na mury zdobywca.

– Do Miłości Waszój, pasterzu nasz, już bo się i dostać nie można! – zawołał od progu, oczyma zaraz rzucając po izbie dokoła. Dostrzegłszy w kącie Jakse, którego ciekawém zmierzył wejrzeniem dodał. – Juściż niewiast u siebie nie macie w gościnie!

Biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usty głowy jego.

– Zawsze z was ten sam szalony Petrek! – począł śmiejąc się Biskup. – Nie kazałem obcych puszczać, bom sam chciał być z bratankiem, któregom na drodze przypadkiem pochwycił.

I wskazał na Jakse, który się skłonił milczący.

– A mnież to wasz bratanek obcym być ma? albo mi to go widzieć nie wolno – począł Petrek. – Cóż to jest! ażalim w

niełaskę popadł!

Biskup poruszył ramionami.

– Chowałem go w izbie, – odparł, – aż mu suknie z domu przywiozą. —

– Cóż go to zbóje po drodze odarli? – pytał Palatyn.

– Nie, boby się im był obronił – mówił ks. Janik – alem ja go zbłąkanego na drodze chwycił. Nie znając kraju, w którym mało bywał, chowając się u obcych, w puszczach się obłąkał. Dopiero gdy szatny przybędzie z Miechowa, stawić się z nim mieliśmy wam i należny oddać pokłon.

Petrek spoglądał jakoś niedowierzająco.

– Prawdali to? – zapytał:

– Jakeś mi miły, Petрку mój – potwierdził Biskup.

Usiadł gość z oczów nie spuszcżając Jaksy.

Zwrócił się wnet cały ku niemu, i jął badać o życie, o podróże, o naukę, o to co lubił i co mu miłem było. Uwziął się nań aby pytać, ale z Jaksą niełatwa była sprawa, bo, choć zrazu nieśmiały, gdy się raz przemógł, każdemu dotrzymał kroku. Petrek go swą szorstką, napastliwą mową nie zmieszał wcale.

Wśród tego badania, Zuła postarał się o wino i kubki, rozsiadł się Palatyn, poczęto prawić o różnych rzeczach; szeroko i długo. W ostatku gdy pocichu coś Petrek Biskupowi szeptać zaczął, Zuła z Jaksą z izby się wysunęli.

Powstał z siedzenia Palatyn i przybliżył się do ks. Janika.

– Nie darmom się ja – rzekł, – do drzwi Miłości Waszój tak dobijał, mówić chciałem z nim i potrzebowalem – radzić się. Z

Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą. —

– Co zaś! – odezwał się Biskup.

– Władysław pan nasz, nie winię go, do zbytku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna. Na złe go ona prowadzi, grożą nam niepokoje.

– Władysław nie będzie się ważył ich wszczynać – odparł Biskup.

– Niewiasta go zmoże, – mówił Petrek. – Swą krwią cesarską dumna jest nad miarę, mało jęj księżną na jednym grodzie być, królową pragnie. Ile razy nasi Piastowie niemki brali, zawsze nam z nimi wojny przychodziły i klęski. Bodaj i teraz tak będzie. —

Niemcy, ulubieńce księżnej, biją jęj w uszy, że siedząc na Krakowie panować powinna nad wszystkimi ziemiami, że braci Władysław powinien precz wygnąć, pojąć wszystko, tak jak Mieszek i Chrobry...

Władysław dobry jest, ale najlepszego niewiasta zła uczyni chciwym i dumą napoi, gdy dzień w dzień jedno mu śpiewać będzie. – Poleje się krew, nie czyja tylko nasza!

Biskup westchnął.

– Bogdajbyście nie byli prorokiem.

– Nie daj Boże krew przepowiadać, – ciągnął Petrek, – za łaską Bożą, ja i drudzy nie dopuścimy może do jęj rozlewu. Nieboszczyk król zwierzył mi wolę swoją – w imieniu ojca odzywać się będę. – Słowa nie poskapię, męztwa mi nie zbraknie.

– A pani Agnieszka? – wtrącił biskup.

– Będzie musiała zamilczeć – mówił Palatyn. – Jeśli ję tu ziemi mało, kraju mało, niech jedzie nad Niemcami królować. My ję tu z ję zausznikami wichrzyć nie damy.

Odezwał się dziad Herman w tym wnuku, – mówił dalej, – téż samą dobroć ma, pobożność i uległość dla niewiasty – ale królowej miłośnik Dobek Niemiec, nie dorósł Sieciecha! – Niech sobie króla przy jejmości wyręcza, nie nasza to rzecz, ale wara palce wtykać w rządy nasze!! wara!

Mówiąc to powstał Palatyn i chodził żywo, a coraz większa jawnie gorączka go opanowywała.

– Z Płocka, z Gniezna, z Sandomierza ślą do mnie donosząc o coraz gorszych poszlakach. Że już do Krakowa ściągają lud, że spiski się na młodszych książąt kryjome czynią.

Radzić trzeba, pilno radzić trzeba!

– Wy sami chyba po temu siłę mieć będziecie – rzekł ks. Janik – wy, albo brat mój, biskup krakowski, jeżeli was posłuchają. – Jam do tego niezdolny i mnie ks. Władysław nie usłucha.

– Nas wszystkich razem, usłuchać musi! – zawołał Petrek. – Posłuszny mu jestem jako panu alem wprzód ojcu jego, miłościwemu memu przysięgał, że czuwać będę aby się wola jego spełniła. Gdy przeciwko niej najmniejszą rzecz uczynią, stanę chociażby sam na wszystkich. —

Nachmurzył czoło Palatyn.

– Ukaże się najmniejszy znak jeszcze, – mówił dalej żywiej coraz, – a poznam że się chce porwać na braci, do Krakowa pojedę prawdę mu rzucę w oczy.

– Petrku mój miły – westchnął Biskup głos zniżając i ton przybierając łagodny wielce – w paszczę smoka i niewiasty dobrowolnie się rzucać bezbronnemu nierozumem by było. Jeżeli Agnieszka tak złą jest, jeżeli już księcia, dwór i wszystkich tam zdołała sobie pozyskać – wszak ci was łatwo zgubić mogą.

Na całe gardło rozśmiał się Petrek i stanął hardo patrząc Biskupowi w oczy.

– Mnie zgubić? oni? Na mnie by się mieli porwać? Nie! Władysław nadto jeszcze pamięć rodzica szanuje, a wie że ja nie moją wolę a nieboszczyka rozkaz pełnię. – Nie będą śmieli tknąć mnie, ani on, ani ta niemiecka wiedźma, której się nie boję, ani jój słudzy, którymi gardzę jak plugawstwem.

– Patrz abyś nadto śmiałym i ufnym w sobie nie był – wtrącił biskup.

– Dla strachu ja się nie cofnę – zawołał Petrek – rychléjby mnie groza znęciła ku sobie.

– Radźcie się ludzi!

– Sumienia się naprzód radzę – odparł Palatyn, – ono starczy, a i ludzie mi nie naganią tego co uczynię.

Biskup popatrzał nań, a jako sam srogim nie był, tak i drugich rad hamując, począł zwolna rozjątrzonego uśmierzać.

– Co ci ludzie do uszów przynoszą – rzekł, – plotki być mogą. Ile wiem, poszlaków dotąd znacznych niema. Władysław w swój dzielnicy siedzi spokojnie, do braterskich spraw się nie miesza. Czekaj przynajmniej aż jawnie wystąpi i będzie za co go strofować. —

– Może być po niewczasie – odparł Petrek. – Gdy wojska ściagną, gdy Żupanów po grodach sobie zjedną, a Agnieszka zagiew rzuci i księżę za nią pójdzie, późno będzie wołać że – gore.

– Miły mój! – przerwał Biskup, – tyś gorący, strzeż się, byś na pożar nie wołał, gdy go niema.

– Gorący! a tak – potwierdził Petrek. – Byłem nim i będę pókim żyw. Tylko gorącością się coś czyni, chłodem i małodusznością chyba nic. Wy ojciec dobrzy jesteście, miłujecie pokój, jam zły i miłuję wojnę.

Uderzył się w piersi.

– Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Napił się z kubka Palatyn i po izbie obejrzał.

– A bratanek wasz! – zagadnął – cóż myśli? Czy nie na dwór pański? Młody jest, rycersko wygląda, woli za piecem gnuśnieć!

Czy go matka chce przyszytym trzymać do spódnicy?

– Nic nie wiem – odpowiedział Biskup zwolna. – Ja go jeszcze tak jak nie znam. Od dziecka go po raz pierwszy widzę, ale cieszę się nim. Młodzian rażny, roztropny, gnuśnieć by mu szkoda. – Nie może służyć inaczej tylko rycersko albo duchownym, a do tego nie zdaje się powołany.

– Służyć! – żywo podchwycił Petrek – komu? gdzie? My już rycerstwo nasze pogrzebliśmy z Krzywoustym. Żaden z synów nie ma jego ducha. Gdyby go miał Władysław, toć Ruś stoi przed nami, toć Pomorze nie zwojowane, toćby na Sasach i Niemcach swoje ziemie odbijać potrzeba – a księciu nie to w głowie, tylko

braciom ojcowiznę wydzierać! Komuż będzie służyć i z kim iść! – wołał ramionami ruszając. – Młodzież się u nas pomarnuje. Za Krzywoustą Sulistawy, Wojsławy, Skarbimierze z ziemi rosły, a dziś. – Dobki co się babom wdzięczą i przez baby zwady sieją, aby się im téż co z tego upiekło! Ot na co zeszliśmy, ot na co!

– Ale bratankowi ja nie dam zmarnieć – odparł Biskup. – W rodzie naszym, krom Zuły co się biedaczysko roztył, choć dawniej dobry wojak był – trutniów nie słyhać.

Umilkł Palatyn i po chwili pokłoniwszy się biskupowi, do wyjścia zabierał.

Ks. Janik go uściskał – Petruku najmilszy bracie mój, – odezwał się, – niegorączuj się. – Źle jest kto nic nie czyni, ale téż nie dobrze kto za wiele chce czynić i bez rozmysłu.

– Najgorzej, ojcze, kto nic nie czyni – dodał Petrek – ja tym być nie chcę, nie mogę.

Pocałował go w rękę. Usłyszawszy odchodzącego, Zuła z Jaksą weszli pożegnać i przeprowadzić Palatyna.

– Słuchajże, miły plemienniku mój – odezwał się Petrek do młodego – abyś mi się ty ztąd nie ruszył nie bywszy u mnie. Któż wie i ja ci się tu na co zdać mogę! Stary jestem, nie zgrzeszysz poszanowawszy... Dobrze wam życzę – ty mnie, ja tobie mogę być pomocnym...

Spojrzał nań – Jaksie może cudna twarzyczka Błogosławy na myśl przyszła i uradował się wielce, pokłonił wdzięcznie.

– Juścibym wam czołem nie biwszy nie poszedł ztąd – odparł z uszanowaniem. – Znam co komu należy – tego mi i przypominać

nie trzeba, miłościwy panie...

I oba z Zułą powiedli go do drzwi, a Jaksa aż do konia. —

Przybył nareszcie i szatny z Komorowa, a Jaksa mógł się przyodziać tak aby na dworze pana Petrka stanął bez zasromania. — Brał wówczas na się każdy do ludzi to co miał najlepszego, aby okazać swą możność. Jaksowie zdawna majętni byli, a skarbiec ich stary obfitował we wszystko, co w te czasy najwyżej ceniono.

Zbytkiem naówczas była nawet koszula, bo ją nie wszyscy nosili; cienka, lniana szata spodnia, której nic kobiece ręce przedły a niewieście oko na blechu jęj strzegło. Szyto też wzorzysto owe lniane gźło około rękawów i kołnierzy i na codzień go nie kładziono.

Szła po niém suknia krótka do kolan, z rękawy spuścistemi, rozprutemi, długimi do ziemi, z pod których albo gźło wyglądało, lub drugi rękaw obcisły, klapą na przodzie część ręki do palców okrywający. Suknia ta z przywożonej z nad Renu tkaniny wełnianej szyta i bramowana złotem lub purpurą, przepasana bywała pasem ze skóry lub kruszczu sztucznie uplecionego. U pasa wisiał nożyk mały, gdy większy miecz za panem zwykle strojne nosiło pacholę. Na szyję szedł łańcuch złoty, im cięższy tém bardziej pański, często z klejnotem wyrażającym fantastyczne zwierzę jakie, albo pieniądzem złotym. Na nogi już spiczasto zakończone buty kładziono, których długie nosy blaszkami złożonemi były przyozdobione... Na wierzch zarzuciwszy płaszcz, a na długie, na ramiona spuszczone włosy włożywszy czapeczkę z pióropuszem, mogło

młode panie, zręcznej postawy, całe okazałe wystąpić. —

Takim właśnie strojnym chłopakiem, do niepoznania zmienionym, ukazał się stryjowi Jaksza, gdy go szatny przyodziął.

Biskup uradował mu się wielce, tak mu było do twarzy. — Nie miał się go powstydzic prowadząc z sobą.

Przypatrywał mu się, oglądając go ze wszech stron, z pociechą wielką i w głowę pocałował.

Sam też wybierając się do pana Petrka, suknię biskupa wdział dostatnią, łańcuch z krzyżem na szyję, ogromny pierścień biskupi na palec i czapeczkę na głowę futerkiem okładaną, ale mu w tém wszystkiém tak było jakby tylko co z siebie zbroję i kaftan rycerski zrzucił — krwi téj wojaczéj suknia duchowna nie mogła do spokoju ukołysać, a gdy potém na koń siadł, wyglądał więcej na wodza prowadzącego do boju niż na pasterza niosącego błogosławieństwa pokoju.

Dosyć liczny dwór strojny za Biskupem i Jakszą podążał, i Markowi bowiem matka ludzi jego przysłała, aby samopas nie szedł, bo samemu wstyd było się ukazać na dworze.

Gdy do dworca pod Sobótką przybyli, Jaksza który wiele słyszał o bogactwach i mocy Petrka, zdziwił się trochę mieszkanie jego zobaczywszy. Z powierzchowności domostwo całe wspaniałém nie było. Na dosyć obszernéj parkanami dokoła obwiedzionéj przestrzeni porozrzucane stały szopy, składy, schronienia dla czeladzi i służby, skarbce, stajnie, bo się Petrek w koniach kochał, psiarnie, bo gromady psów trzymał, sokolarnie, bo i ptastwa miał siłą. Dla siebie i rodziny dworu jeszcze takiego

był nie wzniósł jak na wielkiego pana przystało. Gdy się temu dziwiono i pytano o przyczynę, powiadał że naprzód Bogu domy stawić musi, a potem dopiero pomyśli o sobie. Powiadano iż ślub był uczynił taki, że w każdej majątności swój kościół z kamienia zbuduje; a że ich miał po wszystkich ziemiach bardzo wiele, nie dziw że ich siedemdziesiąt i siedem potem liczono, choć ich pewnie tyle nie było.

Dwór pana Petrkowy cały prawie był drewniany, okrom małej części, w której się skarby droższe zachowywały. Widać było że go budowano i dobudowywano. Więc jedna część wyżej się podnosiła nad drugą, na jednej dach był spiczasty, u drugiej płaski, kryty dranicami, słomą i ceglami. Ganków i przejść pod słupami wszędzie siła widać było dokoła, to z surowego drzewa, to na czerwono i pstro pomalowanych, wedle prastarego obyczaju słowiańskiego. Wszędzie po pod ścianami ciągnęły się niższe i wyższe podsienia, gdzieniegdzie tak szerokie, iż czasu lata pod nimi wygodnie stoły można było umieścić. Nigdzie na zewnątrz nie wydawała się owa sławiona, wielka zamożność p. Petrka, chyba tém że po podwórcach konie pod nakryciami bogatemi wodzono i wozy stały obciążane sukнем szkarłatném, kute mosiądzem jasnym i ludzi się snuły kupy lepiej postrojonych od samego pana.

Gdy Biskup z Jaksą ukazali się we wrotach, a odźwierny znak dał ku dworowi, wnet we drzwiach ujrzeli wychodzącą panią Petrkową i syna jój, młodziana pięknego wzrostu, do matki i siostry podobnego. Córka Błogosława, której oczyma

szukał Jaksą, na spotkanie nie wyszła. Oprócz nich i samego Palatyna, tuż za nim ukazał się czarno zarosły mąż, silny, z twarzą dumną i ufność w sobie wyrażającą, trzymający się w boki, strojny, obwieszony złotymi łańcuchy, przy sporym mieczu u boku. Wzięłby go nieznający obu za Palatyna samego, tak Petrek niepocześnie przy nim wyglądał.

Był to, jak Biskup Jaksie oznajmił Rogier sędzia Wrocławski, druh wielki i najlepszy sługa Petrka, prawa ręka jego, mąż wielkiego męstwa i ducha.

Sam Palatyn, jak naówczas gdy na dwór Biskupi przybywał, odziany był niewykwintnie. Suknię miał na sobie wynoszoną, ładającą, ani nawet łańcucha na szyi, a na nogach proste skórnie od łowów.

Wiedziano, że stroju i wystawności dla siebie nie lubił, a najmiliej mu było chadzać w wygodnej codzienniej odzieży, w której się mógł swobodnie poruszać, jako chciał. Włos też miał rozczochrany jak pierwszą razą.

Biskup zobaczywszy wychodzących przeciwko sobie, zdala począł błogosławić, palce złożyłwszy wedle zwyczaju. Wszyscy skłonili głowy.

W téj chwili wyszedł też ze drzwi, nieodstępny tu prawie Opat Anzelmus, którego Jaksą widział już odprawującego w kościółku mszę świętą. Ten wspaniałej postawy, pięknej i szlachetnej twarzy spokojnej mąż, zdala przyzostał i ostatni Biskupa przyklęnięciem powitał. Ks. Janik na ramiona mu ręce położywszy ucałował go jak brata.

Gdy Opat z Biskupem obok siebie stanęli, można było dostrzedz wielką różnicę charakteru obu duchownych; O. Anzelm był poważnym kapłanem, ks. Janik bojującym kościoła zapaśnikiem.

Przodem kroczył do wnętrza domu ks. Janik, do tej części, która dla przyjmowania gości była przeznaczona. Różniła się ona wielce od drugiej, w której sam Petrek zamieszkiwał. O ile pierwsza była wspaniałą, o tyle druga do zbytku prostą i niemal opuszczoną. W sypialni, w izbach przytykających, które sobie Petrek zbudował, nie było nic krom ław i stołów od siekiery wyciosanych. A że psy myśliwskie wstęp tu miały, zdarzała się często i słoma pod stołami i barłóg przez nie wyleżany. Wśród tych ścian drewnianych nie obleczonych niczem, na podłodze z prostych dylów, na dębowych ławach, Petrek sobie lubował, a mawiał, że mu tu najlepiej i najmiliej było. Dla gości wszakże, w tym domu niepozornym, komnaty były prawie królewskie, bo i pani Petrkowa w zbytku i okazałości wielce się lubowała, pochodzenia swego kniaziowskiego nie mogąc zapomnieć. Znać to było z każdego ruchu niewiasty nie wiele mówiącej, lecz nakazującej poszanowanie obejściem się swém i dumnej.

Izby te gościnne, choć niskie, przestronne były i wspaniałe, drogi w nich suknem słane, na ścianach zbroje, obrazy, przy drzwiach naczynia do wody złociste, tarcze malowane na ćwiekach, po stołach opony ze złotogłowa i jedwabiu, puhary, cebrzyki, nalewki, kubki złociste i wszelkiego naczynia na półkach mnogość wielka. Na ławach i siadzeniach, jakby trony

królewskie poduszkami wysłanych, wszędy leżał szkarłat, a powietrze wonnościami wschodnimi przejęte, zapach miało jaki po kościołach z kadzielnic tylko się dobywa.

Izb takich okazałych kilka ciągnęło się za sobą, że było w nich gdzie i dużo ludzi pomieścić, i, gdy pierwszej zdumiało się oko, jakby je na to obrachowano, idąc w głąb rosnał coraz podziw, bo coraz większa rosła wspaniałość. Gdy do trzeciej komnaty wchodzili, w której siedzenie wysłane wskazał gospodarz dla Biskupa, Jaksa idący za nim ujrzał w progu dalszych mieszkań stojącą Błogosławę, która w białej sukience, z rozpuszczonym włosiem i zielonym wianuszkiem na nim, przyszła pokłęknać przed ks. Janikiem, prosząc go o błogosławieństwo.

A była, wśród tych izb nieco przyciemnionych, jakby jakąś jasnością otoczona; wszyscy co na nią patrzyli stanęli w niemém osłupieniu nad promienistą jęj pięknnością, i po licu matki szczęśliwój przebiegł uśmiech dumny... Z tych drzwi czarnych wychodząc zdała się zjawiać jakby cudem, a w izbie stało się od niej jaśniej i weselój. Lica się wszystkim uśmiechały.

Ucałowawszy rękę biskupią, piękna dziewczeczka wstała, zarumieniona, a nim Jaksa olśniony przypatrzeć się jęj lepij zdołał, znikła znowu za ciemną oponą.

Słudzy zatém poczęli nieść dzbany, kubki, białe chleb słodki krajany w koszach srebrnych, napoje i zamorskie łakocie.

Siadła zdała pani Petrkowa, Opat na niższém krześle podle Biskupa, Jaksa skrył się nieco w kąt, a za nim poszedł młody Światosław, bo go miał za swojego gościa, i z twarzy wraz

polubił, a czuł się pociągiony ku niemu.

Widział Jaksę gdy się Błogosława przesuwiała iż wzrok jej padł na niego i że poznać go musiała, tak jak pani Petrkowa, bo obie pamiętały go z kościoła, ale żadna z nich tego po sobie znać nie dała.

Gospodarz, nie siadając sam, Biskupowi służył, przez uszanowanie dla dostojęstwa i dla tego też może iż starcowi ruchawemu na miejscu wytrwać ciężko było. —

Wśród tego złota, dostatków i przepychu ów jeden, odziany z prosta, wyglądał prawie na sługę, tak niepozornym był, acz skinienia jego wszystko słuchało.

Gdy starszyzna po cichu rozmowę wiodła z sobą, Światosław z Jaksą jednolatek, do niego się przywiązał. Dobra znajomość pomiędzy rówieśnikami wnet została zawartą, wyszli razem do drugiej izby, aby swobodnie na ławie siadłszy rozgadać się o młodzieńczych sprawach. O czémże jeśli nie o psach, koniach, sokołach i zbrojach.

Światosław, choć rycersko chowany, więcej miał w sobie natury matki niż ojca, więcej w charakterze spokoju i pańskości. — Jaksie niewymownie się podobał może z tego iż oczyma niebieskimi, rysami twarzy i łagodnym jej wyrazem, piękną swą siostrę przypominał. Z obu stron chłopcy przyjaźń ku sobie powzięli wielką. Z pytań w pytania Jaksę prawił o swoich wędrówkach, Światosław skarżył się że tęsknił za oglądaniem świata Bożego. Przyznał się że oprócz służby rówieśników innych i druha nie miał, ani zabawy z młodzieżą.

– Jaka to szkoda, mówił, że wy tu przy stryju swym Biskupie nie zamieszkacie, miałbym z was pociechę jak z brata!

Jaksa téż ofiarował się mu bratem być, zapraszając w gościnę do siebie, utyskując nad tém że jak Światosławowi, matka mu się mało od siebie oddalać dozwalała. Tak różne opowiadając przygody dwaj młodzi dużo czasu razem w izbie sam na sam strawili, a Światosław poznosił do niej miecze i łuki nowe, jakimi go ojciec obdarzał, aby Jaksa próbując dał o nich zdanie swoje.

W tém z drugiej komnaty Biskup bratanka wołać zaczął.

Pani Petrkowej już tam nie było, siedzieli tylko w okół Biskup, gospodarz i Opat cicho coś gwarząc, gdy Jaksa pospieszył na wezwanie.

– Słuchaj no, miły mój, rzekł ks. Janik zwracając się do niego – oto ci się z porady p. Petrka przygodzi iż darmo doma gnuśnieć nie będziesz bo to młodemu nie przystało. Jakby ci się to zdało, gdybyś listami opatrzony, na dwór ks. Władysława jechał i tam się rycersko zabawiał. Kraków miasto niczego; tyś do Niemców nawykł, znajdziesz ich sam dosyć?

– Wdzięczyen muszę być za łaskę p. Petrka, odparł kłaniając mu się Jaksa – jechać bym jechał gdzie starsi poradzą, byle nie zależeć pola; aliści dwór ks. Władysława z wielkiego rycerstwa nie słynie. I to jednak nie waży, tylko, gdy mi pan Bóg ojca nie dał, pani matce mojej opowiedzieć się muszę.

– Słuszna! pocziwa – dodał Biskup, albowiem powiedziano, szanuj ojca i macierz twoją, chceszli długo żyć na świecie, Pani

matce zaś powiedzieć możesz iż ja tego dla was życzę abyś na dwór jechał, i widzę tego potrzebę.

Spojrzał znacząco na bratanka, na którego téż Petrek patrzył oczyma bystremi, jakby go na wskroś chciał przeniknąć. —

— Potrzeba ażebyście tam jechali, dodał poufnie, zniżając głos nieco, i dla was się to zda i dla drugich. Tylko nie dworować około niemki, która jest zdradliwa i zła, a starać się o zachowanie księcia. Od ks. Agnieszki mieć się na pieczy. Około pana obracając się napatrzycie się i nasłuchacie a nauczycie rzeczy wiele, co młodemu zda się nie dziś to jutro. Na grodzie wśród lasów sięść zawczasu a dziczyć na to was szkoda.

Jaksa zdziwiony był trochę tém staraniem nagłym o los swój, ale więcej się już nie odzywał. Podziękował p. Petrkowi za dobrą wolę.

— Doświadczycie tego, odparł rubasznie gospodarz — po ramieniu go uderzając, żem ja wam szczerze życzliwy. A jakżebym nie miał nim być gdyśmy powinowaci? Swoi się kupą zawsze trzymać i o sobie zapominać nie powinni.

Rozmowa przeciągnęła się trochę jeszcze aż do zmroku, poczem Biskup ruszył się do odjazdu zabierając. Jakby wiedziała o tém pani Petrkowa, wyszła z za opony dla pożegnania, a za nią zjawiała się znowu jasna postać Błogosławy z włosy rozpuszczonemi i wianuszkami u skroni, przemknęła jak cień uśmiechnięta. — Znowu Jaksa pochwycił jój wejrzenie, a tak go ono swą siłą do miejsca przykuło, iż zapomniał kędy był i co się do koła jego działo. — Patrzył na nią i za nią, i zdało mu się

jakby we drzwiach znikając, zwróciła się ku niemu, na jedno oka mgnienie, niby go szukając wzrokiem. – Było to może złudzenie. – Wychodzącego Marka młody Światosław przeprowadził, pod rękę go ujawszy, zmawiając się z nim, aby nazajutrz razem ze psy i sokoły na łowy ciągnęli, i obiecując zajechać po niego.

Weselszy daleko niż jechał na ten dwór powracał Jaksa z Biskupem. – Ks. Janik poszedł zaraz do pacierzy swych i oczekujących nań księży, a Marek sam został z Zułą, który chciwie o dwór pana Petrka i o przyjęcie na niem dopytywać go zaczął. – Stary ciekawy był bardzo a dla otyłości mało się mógł ruszać. – W ciągu opowiadania, gdy o Błogosławie napomknął młody i mimowolnie się zarumienił wymawiając jój imię, Zuła chwycił go śmiejąc się za rękę.

– A no! krzyknął, więcście to cudo widzieli, tę białą gołąbkę, która się w gnieździe Petrkowém niewiedzieć zkąd wzięła! Nieujmując Petrkowi, do jastrzębia albo kobuza podobniejszy jest, niż do ojca takiej ptaszyny złotéj. Dziki i prosty człek, choć doszedł wielkich skarbów i mocy wielkiej. Jeszcze starzy ludzie pamiętają, gdy od czeskiej granicy w kilka pono koni tu przybył, ofiarując się na służbę królowi, zwano go naówczas rycerzem z Donina. – Urósł potem prędko i księżniczki za żonę dostał i takiej córki ślicznej i syna dorodnego – i włości niepoliczonych i skarbów o których cuda prawią. A muszą być wielkie, gdy niemi na kościoły sypie i sypie i nieubywa mu nic...

Córka godną króla zaślubić! dodał unosząc się i ręce składając Zuła.

– Piękniejszej nad nią widzieć trudno, tam nawet gdzie na pięknościach niezbywa! zawtórował Jaksa.

– A wiano po niej, – rzekł Zuła – mało powiedzieć dziesięć kubłów złota i dziesięć srebra wozów!!

Wziął się aż za głowę stary. – Ale też tam – dodał – prostemu rycerzowi, ziemianinowi na jednym dwu gródkach ani się posunąć. – Chowają ten rajski kwiatek dla mocnej dłoni! – dla pańskich rąk! Oboje wysoko patrzą, – szczególnie sama Petrkowa, która się kniahinią nazywać każe. A mówi, – słyszę – głośno, – niech mąż z synem robi co chce, córkę ja wydám sama, i nie dokąd tylko tam zkąd jej matka, aby na stolicy siedziała.

Jaksa posepnie spuścił głowę. —

– Szkoda będzie tego kwiatu, gdy go nam zabiorą, – rzekł Zuła, – ale bab mamy siła, – zostanie tego zawsze dosyć. – Każda z nich hoża póki wianuszek nosi, i wszystkie potem wiednieją prędko, że ich nie poznać! – I tę pewnie nie inny los spotka, bo piękność jak wiosna jest, – kiedy rozkwita przekwita.

Śmiał się prawiąc tak Zuła a Jaksa milczał już.

Drugiego dnia ze Światosławem jechali na łowy, cały dzień biegając ze psy i sokoły, tak że późno już na noc wrócili do miasta. A że podle dworu i góry Sobótki jechać im było trzeba, Światosław na wieczorny chleb zabrał przyjaciela z sobą.

Ledwie doń zasiedli, gdy, pewnie o obcym niewiedząca siostra nadbiegła do brata. Jaksa się porwał, ujrzawszy ją i o mało nie spłoszył strwożoną, gdy go ujrzała. – Brat ledwie na chwilę mógł ją powstrzymać zapytaniami o rodziców.

Miał czas gość stojąc z wlepionymi w nią oczyma, przypatrzeć się jak chciał ślicznemu dziewczęciu. Serce mu w piersi kołatało, gdy ona, jak dziecko zuchwałe, mierzyła go ciekawém wejrzeniem.

Widział ją uśmiechającą się do brata. Słyszał mówiącą takim głosem, jakim rajskie śpiewają ptaki i wydała mu się zbliżka stokroć piękniejszą niż zdaleka, a gdy odchodząc na pożegnanie, oczyma rzuciła ku niemu płonąc cała, ledwie na kolana niepadła przed nią.

Gdy potem do dworu Biskupiego wracał, po téj wielkiej radości, która tak krótko trwała, zrobiło mu się w sercu smutno i tęskno i sam niewiedział dla czego począł strasznie boleć nad sobą. Na świecie mu było pusto i czarno – nieznośnie...

Zuła, który wyszedł go witać, słowa zeń dobyć nie mogąc, domyślał się trafnie, że sokoły ks. Janika musiały się źle popisać.

V

Stary gródek w którym podówczas mieszkali Jaksowie, co się z Miechowa pisali, był w Komorowie. – Lasami ogromnemi otoczony, na pagórku tkwił nie wielkim, ale wałami mocnemi obwarowany, i, choć nie obszerny ani okazały, sławił się jako najstarsze w téj ziemi gniazdo rodu Jaksowego. Jak wszystkie takie przedwieczne grodziska, zdawała na to czém był nie wyglądał. Ludzie wszakże wiedzieli, że w Komorowie Jaksowie mieli skarbiec książęcy i wszelakiego dostatku moc ogromną. – Ci co się dworu dotykali, służyli i stróżowali około niego, opowiadali że jako jeden gród był na górze, tak drugi większy daleko, niedostępny dla nikogo w górze samém, pod ziemią się mieścił, a chodnikami z niego kędyś wyjść było można w świat niepostrzeżonemu. – Opowiadano téż że w wykutych w ziemi izbach i komnatach stały kadzie złota, leżały stosy srebra jak w lesie drzewo, gdy je rąbią i składają. – Prawiono cuda – tego jednak nikt obcy niewidział nigdy, gdyż zawsze tylko jeden z rodziny znał tajemnicę wchodu i wychodu, a niepowierzał jój nikomu, aż na łożu śmiertelném. – Mówiono téż iż były zaklęcia jakieś straszne, co przystęp do podziemiów śmiertelnym dla obcych czyniły. —

Powiadano że gdy raz, sto lat temu, Połowce na zamek wtargnęli i dobyli się do wnętrza, znikli z niego ludzie wszyscy jakby cudem, że oprócz koni w stajniach i psów żywego nie

znaleźli ducha, a łupę też tak jak żadnego, bo go miano czas gdzieś unieść i poukrywać. – Przypisywano to czarom i sile jakiegóż nieznanego, którego lud pospolity lękał się wielce.

Do zamku wiodły jedne wrota z wieżycą drewnianą, ale te pominawszy szło się szczyją między wałami dwoma i dopiero drugimi wroty wchodziło w dziedziniec. – Tu w pośrodku dwór stał stary z ogromnych modrzewiowych kłóców, jakby na wieki zbudowany. Takich drzew z jakich go zestawiono już potem lasy nie widziały. – Były to pono pierwsze co tu urosły po narodzeniu się ziemi i po opadnięciu wód, a każdy pień był tak przepotężny, że ludzie w kilku jednego objąć nie mogli, a tak twarde że ich topor nie miał, i szczybił się jak na kamieniu. – Więc choć ten dwór setki lat stał, zdrow był i cały, tylko posiwiał i zczerniał miejscami. – A drasnąć było tę skórę, którą nań włożyły wieki, z pod niej zdrowa miąższ żółta jako wosk świeciła.

W ścianach grubych siedziały małe starodawne okienka bez błon, z okienniczkami szczelnymi, które mało co światła do środka puszczały i drzwi były niskie i wszystek pozór nie terażniejszy. – Ten co to budował nietylko o moc dbał, ale i o ozdobę, bo w tych kłódach po rogach, po belkach, – nad drzwiami dziwołagi powyrzezywał, jakich chyba nigdy na świecie niebywało, i żadne oko ludzkie ich nie widziało. – Siedziały tam, jakby na postrach poczwary z głowy ptasiami, z nogami lwów, z łapami niedźwiedzi, ze skrzydły rozpostartymi, to orły niby z paszczkami wilczymi, to smoki jakieś z pozakręcanymi ogony węzowymi. – Niegdyś potwory te

malowane były, ale barwy z nich dawno zmyły deszcze i wypaliło słońce do szczeru. —

W osobliwszym tym starym dworze latem, — około tych poczwar, ba w ich gardłach gnieździło się ptastwo, kręciło po nich i szczebiotało, tak że one drewniane rzeźby żyć się i gadać zdawały. —

W Komorowie mieszkała matka Jaksowa, — pani wielkiego rodu, kędyś z za Łużyc czy od Pomorza wzięta. — Poganką ją pono zaswatał był stary, — przywiózł na dwór swój, — ochrzcił, i tu się dopiero nowój wiary uczyć musiała. — Miał po niej wziąć skarby bardzo wielkie, ale i w niej samój skarb wziął, bo niewiasta była osobliwa, którejby nie jeden mąż nie sprostął. —

Powiadano o niej, że gdy straciła pana swego, a sama jedna w domu z synaczkiem pozostała, i Jaksowie stryjeczni opiekuna jój dać chcieli, — którym pono owego otyłego Zułę wybrać miano, albo brata jego, później zmarłego — tak się im postawiła że tykać jój nie śmieli i nie wtrącali się więcej, dając z synem czynić co sobie upodoba. —

Wyszła naówczas owa mężna niewiasta na wpół z mężka odziana, włosy sobie ustrzygłszy, mężowską zbroję na się skórzanną z łuskami włożywszy, z mieczem i toporkiem, na rękę synaczka niosąc — i stawiała się im, pytając czego by chcieli? A gdy rzekli, że opiekę jój dać mają, rozśmiała się smutnie odpowiadając, że niepotrzebuje żadnej, oprócz Bożej, że ludzi i mienie utrzymać potrafi a — dali Bóg, nieprzyjaciół i na wojnę, sama ze swém zawołaniem po wsiach i opolach pojedzie — a

choćby i na czele ich stanie.

Stryjowie rozmówiwszy się z nią, już się tam nie zgłaszali, a Hanna trzymała majętności, jak żaden mąż, – żelazną ręką. – Gdy było potrzeba dosiadała konia, jechała, – skarżyła, na dwór królewski szła, do Biskupów, do sądów, krzywdy sobie żadnej czynić nie dając. —

Tak się wszyscy dziwowali niewieście mężnej, że potem nikt jój nie śmiał zaczepić. – Gdy jeden z Doliwów zajechał jój ziemię na granicy, dopóty nań czyhała aż związanego, porwawszy na łowach, nie wsadziła do więzienia na zamku, a nie puściła go, aż jój z sześciu poręczycielami poprzysięgać musiał, że więcej krzywdy czynić nie będzie i zemsty wszelkiej zaniecha. – Mimo to co od niej ucierpiał tak się potem w niej ów Doliwa rozmyślał, iż ją za żonę chciał mieć, na co mu odpowiedziała, iż tam z kąd ona była niewiasty z mężami szły na stos, a kiedy dla dziecka żyć musiały, nie ślubowały powtórnie nikomu, bo się za umarłe światu liczyły...

Teraz już lat mając pod sześćdziesiąt, Jaksowa silną jeszcze była, jakby skamieniała, niewczas, niewygoda, trud znosząc młodą siłą jakąś, która w niej pozostała. – Tak samo jak na koniu gotową była we skwar i mróz, dzień przesiedzieć i noc, tak pod dachem, w domu umiała rządzić dziewczkami, dworem, od kądzieli i krosien nie stroniąc. – Tylko gdy do spokojnej siadała roboty, na usta jój przychodziły pieśni jakieś stare, dziwne, niezrozumiałe nikomu, co ich ludzie podsłuchując czasem pode drzwiami, słupieli. – Głos miała mocny, na wpół męzki, smutny

i poważny, a w trąbkę tak zadać potrafiła, że w jój ustach innego nabierała głosu i brzmiała niby piorun, grzmot, albo jakiś wrzask nadludzki.

Pomimo starości nie była jeszcze brzydka trzymała się prosto, a że jój dawno piersi wyschły, wyglądała na mężczyznę i była gibką a zwrotną a silną, że nieraz z łowów przyniesionego kozła za rogi ująwszy, do góry podniosła.

W twarzy ogorzałej, nieco już pomarszczonój, widać było smutek wieczny i zadumę, ale razem spokój i siłę. Trwogi po sobie nieokazała nigdy. – Duchowni nie byli z niój bardzo radzi, – zwali ją nawet poganką dla tego, że ich nie bardzo słuchać chciała, ale szczodłą dłonią sypała im zawsze. – Do kościoła chodziła, znajdując się w nim przystojnie, pilnując aby i czeladź tam uczęszczała, ano potem pilniój jój było do swojego śpiewu, do roboty jakiej, niż do długich modlitw i pacierzy. —

Surowa dla wszystkich pani, – dla jednego dziecka swego była jakby inną. Nie było dla niój na świecie tylko ono jedno, dla niego życie by dała i wszystko. Chowała go tak tą miłością wielką, że nigdy karcić nie potrzebowała. —

Długie lata młody Jaksza przy niój nieodstępnie był, pilnowała go nie spuszczać z oka. – Na pierwsze łowy, w pierwsze pole sama z nim wyjechała. Potem do Krakowa sama ruszyła szukać dlań klechy, coby go uczył innych rzeczy, których ona nie umiała. – Tam siedziała dopóki nie znalazła takiego, co się jój dał powodować i téj był myśli dla dziecka co ona. – Stał mu tedy ów Klecha za pierwszą szkołę, potem ten sam jechał z nim w świat

do szkół innych, aby się chłopię przecierało, – naostatek owemu ks. Marcinowi, gdy święcenia wziął dała plebanię i wieś do niej za wierne usługi. —

Był teraz ks. Marcin proboszczem w Miechowie, i nic mu naganić nie mógł nikt, – bo, choć wówczas mało który pleban żony nie miał, on żył jako mnich, – około chwały Bożej pracował wielce, tylko więcej pono po siołach ludzi nauczał niż śpiewał w kościele, co mu drudzy za złe mieli.

Długo będąc chłopca nauczycielem, nabrał tego nałogu bakałarstwa i po wsiach dzikich apostołować chodził, – nawracał, – chrzczył, – a tęsknił do ludzi opuszczonych, do ślepych, aby im nieść światło...

Dwór Jaksowój w Komorowie prawie z samych starych sług był złożony, z dawnych męża jój ludzi lub dzieci ich. – Było tego dosyć, wolnego i niewolnego ludu, a nikt tam ani biedy, ani głodu nie zaznał, dostatek był zawsze, zbytku nigdy. – Sama pani to jadła i tém żyła, co jój sługi. – Nosila się ciągle na pół po mężku, w butach chadzając, w sukni krótkiej, z nożem u pasa, przy czém, gdy w domu białą namitkę włożyła na głowę, niewiedzieć było, czy niewiastę człek miał przed sobą czy męża.

Od kilku dni syna spodziewała się pani Jaksowa. – Zrazu gdy Marek zbłądził i niewracał, a ludzie co z nim na łowach byli, do domu poprzybiegali, rozpaczając że go znaleźć nie umieli, zatrwożyła się mocno o jedynaka. – Wyjechała sama z gromadami plądrując lasy i szukając syna. Nigdzie śladu jego nie znalazłszy uspokoiła się potem będąc téj myśli, że się tylko

zapędzić i obłąkać musiał. Ufała w to że dziecko po niej i po mężu siłę wzięło i mężstwo, a łąco się nie da ani ująć, ani pokonać, ani zastraszyć, ani uśmiercić. – Czekala więc dosyć spokojna, gdy nadbiegł sługa od ks. Janika, przez którego nakazała aby nie bawił z powrotem. Czekala więc go co godzina.

Nad wieczór wreszcie dnia jednego zjawił się młody, matce do nóg kłaniając, która go słowa nie rzekłszy do piersi przycisnęła. Dopiero jakby odetchnawszy, odezwała się do niego.

– Srogiegoś mi niepokoju o siebie napędził. – Minęło to, siadaj, spocznij i praw coś czynił. —

Począł Marek od początku, jak mu się na łowach nie wiodło, jak się zapędził, obłąkał, po puszczech przedzierał, jak potem Biskupa spotkał, jak u niego czas spędzał, a Petrka poznał i rodzinę jego, o której stara dużo i wprzód już słyszała. —

Nawykł był syn nic nie taić przed matką, więc mówiąc jak Błogosławę zobaczył, a potem ją widział raz wtóry i trzeci, – nie ukrył tego, że mu się dziwnie piękną wydała i że na myśli uroda jęj stała mu ciągle. – Tak się też mówiąc o niej rozciągał szeroko z pochwałami i opisy, iż matka poznała łatwo, że mu dziewczę mocno się upodobać musiało. —

– Dziewka piękna być może – odezwała się – ale ona nie dla ciebie, – ty nie dla niej. Nie dla tego abyś jęj nie był wart, bo Jaksowie też od innych kniaziów nie gorsi, ani żeby bogatsi byli, albo mocniejsi od nas – ale nie takięj żony tobie, a mnie synowęj trzeba. – Niech będzie piękna jako chce, co mi po niej?

– Królować zechce i przewodzić u nas, a jam się na niczyją sługę nie rodziła, ani ty masz być nim kiedy! – Wolę prostą dziewczkę z której, jak z ciasta korowaj, ulepię co zechcę dla ciebie i dla siebie, niż taką królownę, przed którą my padać będziemy musieli. —

I pomilczawszy dodała.

– Pamiętaj i o tém że pieniądz i skarby zdradą kupione nie szczęscą się. – Czém Petrek tak wielkim stał się? – Na wojnie zdobycz, choć krwią zbroczona, swoją téż jest obmyta – a ta. —

Potrząsała stara głową.

– Nie – nie. – Nie myśl o téj dziewczce. —

Jaksa się smutno uśmiechnął. —

– Myśleć o niej po dobrej woli nie będę, a mimowoli muszę, bo mi się upodobała.

– Zapomniećby lepiej – dodała matka. Tyś mąż i pan, uczynisz sobie co zechcesz, ja, choć matka, rozkazywać ci nie będę – ale twoja dola nie tam! nie tam!

Przyznał się dopiero Jaksa, że go na dwór ks. Władysława wysyłać chciano, przypisując to Biskupowi i powiadając że sam nie był od tego, aby pożyć w Krakowie. —

Stara i na to głową potrzasała.

– To już inna sprawa – odezwała się – w tém będzie stanowić wola twoja, ja ni zatém ni przeciw temu. – Nie radabym cię wypuszczać z domu, inaczejem sobie układała, a doli się trudno opierać. – Jaksowie zawsze przy książętach bywali i u nich rośli – rób co chcesz, jakoś winien. —

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.